ARCYDZIEŁA KLASYKI LITERATURY

Karol Dickens

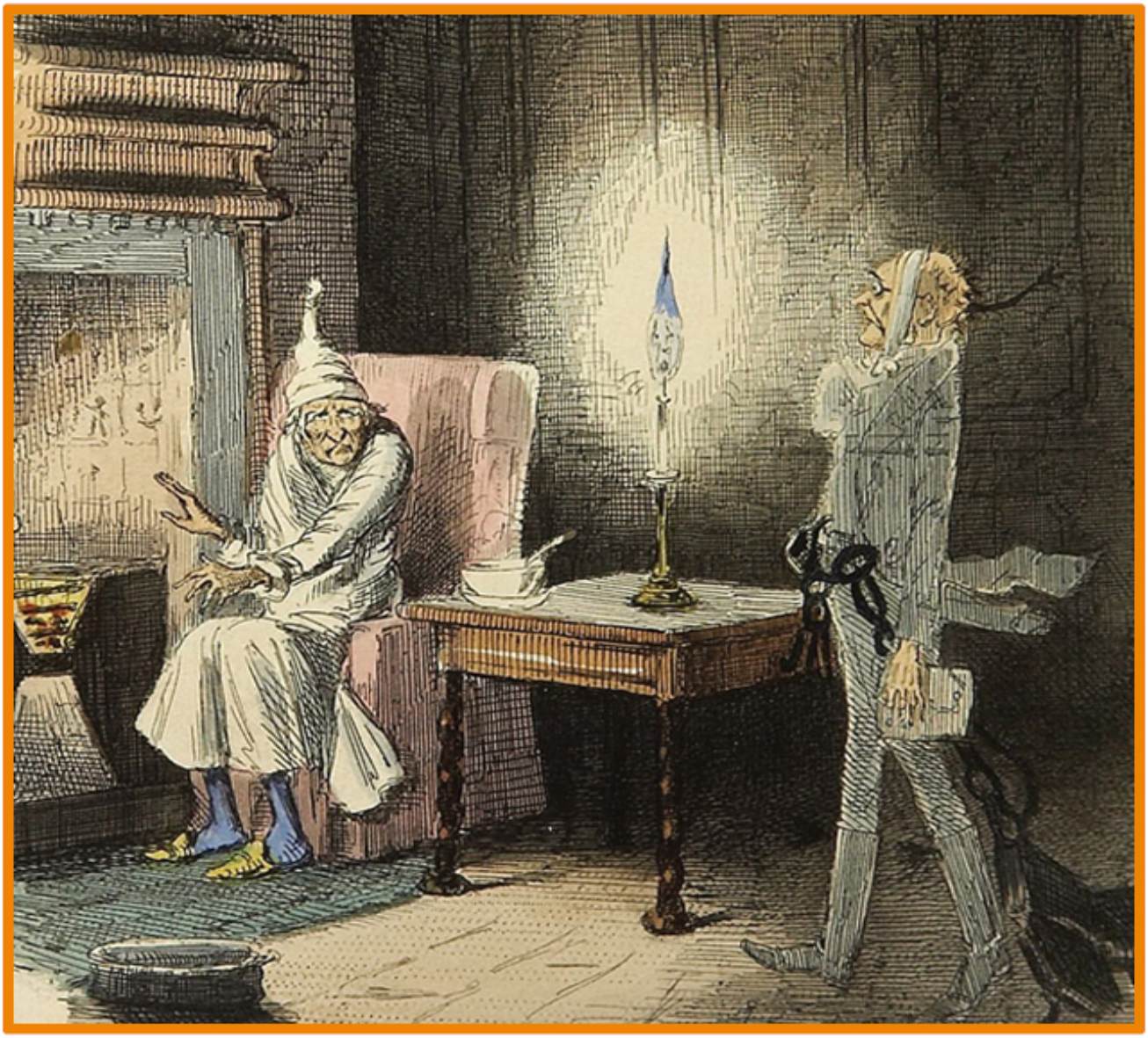

Opowieść wigilijna

publio

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

ARCYDZIEŁA KLASYKI LITERATURY

Karol Dickens

Opowieść wigilijna

Tłumaczenie Cecylia Niewiadomska

Warszawa 2012

Spis treści

Spis treści
Rozdział I. W kantorze
Rozdział II. W domu
Rozdział III. Pierwszy z trzech duchów
Rozdział IV. Drugi z trzech duchów
Rozdział V. Duch ostatni
Rozdział VI. Przebudzenie
Metryczka książki

Rozdział I

W kantorze

Marley umarł. Umarł przed 7 laty. Nikt o tym nie mógł wątpić, gdyż akt jego śmierci podpisali doktor i proboszcz, pisarz parafialny, a co najważniejsza, wspólnik jego Scrooge, którego podpis, zdaniem wszystkich kupców i bankierów, był pewniejszą gwarancją, niż najlepsza kasa ogniotrwała.

Scrooge i Marley byli wspólnikami od niepamiętnych czasów. Po śmierci Marleya Scrooge został jego spadkobiercą i wykonawcą testamentu, a jak przez całe życie był jedynym jego towarzyszem, tak po śmierci sam jeden szedł na cmentarz za jego trumną.

Nie należy sobie tylko wyobrażać, że ten wypadek zgnębił przykładnego wspólnika lub zamącił mu spokój umysłu – bynajmniej – właśnie podczas pogrzebu obmyślił plan doskonałego interesu, który przyniósł mu piękny dochód.

Piszemy o tym wszystkim jedynie dlatego, aby czytelnik wiedział i pamiętał, że Marley dawno umarł, gdyż inaczej cała historia, którą opowiedzieć zamierzam, nie miałaby w sobie nic nadzwyczajnego.

Scrooge nie starł z szyldu nazwiska wspólnika i nade drzwiami kantoru błyszczał zawsze napis: „Scrooge & Marley". Dom handlowy znany był wszystkim pod tą firmą. Mniej świadomi interesanci nazywali niekiedy pana Scrooge – Marleyem; on odpowiadał na oba nazwiska – nic mu to nie szkodziło.

A ściskał też wszystko w garści ten pan Scrooge, stary grzesznik; był to skąpiec nad skąpce, umiał on wyrwać, wykręcić, wydusić, a nigdy nie wypuścił, co raz dostał w swoje pazury. Twardy i ostry,

jak krzemień, był przy tym milczący i zamknięty w sobie. Lodowaty chłód serca skurczył mu oblicze, ścisnął spiczasty nos, pomarszczył czoło, zapalił oczy zimnym blaskiem stali, zacisnął mocno wąskie, sine usta Sztywna postawa, głos suchy i skrzypiący, białawy szron na głowie, brwi i podbródek spiczasty, czyniły go podobnym do ostrego gwoździa. Wszędzie wnosił z sobą lodowatą atmosferę, studził swą obecnością nawet kantor podczas upałów.

Upał i zimno zresztą nie wywierało nań żadnego wpływu. Gorąco letnie nie grzało go, mrozy nie mroziły. Żaden wiatr nie był od niego ostrzejszy. Niepogoda nie mogła mu dokuczyć; najstraszliwsze ulewy, śniegi, grad, zawieruchy, nie zwracały jego uwagi. Było mu to wszystko jedno, byle interes szedł dobrze. Nikt też nie zatrzymał go nigdy na ulicy, aby mu powiedzieć z uśmiechem: „Kochany Scrooge, jak się masz? Co tam słychać? Przyjdźże nas odwiedzić?" Nigdy żebrak nie poprosił go o jałmużnę, dziecko nie zapytało o godzinę, ani zbłąkany przechodzień o kierunek drogi. Zdawało się, że znają go psy, prowadzące niewidomych, ponieważ gdy nadchodził, odciągały swych panów, poruszając znacząco ogonem, jakby chciały powiedzieć: „Biedny mój panie, lepiej nie widzieć czasem, niż mieć oczy!".

Lecz cóż to obchodziło p. Scrooge? On tego właśnie pragnął. Wydeptać sobie ścieżkę obok szerokiego gościńca, którym cały świat biegnie, i ostrzec przechodniów, aby mu nigdy nie włazili w drogę, było jego zadaniem.

Pewnego dnia, a był to najpiękniejszy ze wszystkich dni roku, wigilia Bożego Narodzenia, stary Scrooge, bardzo zajęty, siedział w kantorze. Zimno było dotkliwe i przenikające, czas mglisty; Scrooge mógł wyraźnie słyszeć, jak przechodnie chuchali w palce, rozcierali ręce, tupali o bruk, aby się cokolwiek rozgrzać. Na wieży wybiła trzecia, a noc była już zupełna. Cały dzień było ciemno –

światła, ukazujące się w oknach, wyglądały, jak rude plamy na czarnym tle gęstego, dotykalnego prawie powietrza. Przez wszystkie szpary i dziurki od klucza mgła wciskała się do wnętrza domostw, a w najciaśniejszej uliczce przeciwległe budynki wyglądały, jak widma.

Drzwi od kantoru Scrooge'a były otwarte, aby mógł mieć na oku buchaltera, siedzącego w małej sąsiedniej izdebce, gdzie przepisywał listy. W pokoju Scrooge'a tlał maleńki ogień – lecz w izbie buchaltera na garstce popiołu tlał zaledwie jeden węgielek. Nie śmiał biedak położyć więcej, ponieważ kosz z węglami stał w pokoju pryncypała, a ilekroć poważył się wejść z łopatką po węgle, Scrooge wyrzucał mu, że go rujnuje, i groził, że będzie go musiał oddalić. To też nieszczęśliwy buchalter zawiązał na szyi wełniany szalik i próbował ogrzać się przy świecy.

– Wesołych świąt, wujaszku – niech cię Bóg błogosławi! – ozwał się nagle głos młody i dźwięczny. Był to głos siostrzeńca Scrooge'a, który wpadł niespodzianie, zacierając ręce.

– Ba – rzekł Scrooge – głupstwo!

– Święta Bożego Narodzenia! wujaszku, to nie głupstwo. Nie chciałeś tego zapewne powiedzieć?

– Owszem. Tak jest – rzekł Scrooge. – Wesołych świąt! Jakim prawem masz być wesoły? Co za powód, abyś się oddawał rujnującej wesołości? I tak jesteś dosyć ubogi.

– No, no! – odpowiedział siostrzeniec – jakimże prawem ty, wujaszku, jesteś smutny i kwaśny? Dlaczego się zatapiasz w tych nudnych rachunkach? I tak jesteś dosyć bogaty.

– Głupstwo – zawołał Scrooge, nie mając lepszej odpowiedzi – głupstwo!

– Nie gniewaj się, wujaszku!

– Jakże się tu nie gniewać, żyjąc na świecie pełnym głupców i takich, jak ty, wariatów? Wesołych świąt! Idźcież do licha z waszą wesołością! Czymże jest dla was Boże Narodzenie? Chwilą płacenia długów i rachunków, na które często nie macie pieniędzy. Musi wam przypominać, że jesteście o rok starszymi, a nie bogatszymi o szeląg. Po sprawdzeniu książek handlowych, przekonywacie się w tym dniu dowodnie, że w ciągu upłynnionych dwunastu miesięcy żaden interes nie przyniósł wam zysku. Gdyby to zależało ode mnie – dodał z wzrastającym oburzeniem – to każdego głupca, biegającego od domu do domu z okrzykiem „wesołych świąt" na ustach, wsadziłbym w kocioł, w którym się gotuje budyń, a potem pochował z gałązką choiny na sercu. Tak jest.

– Wujaszku! – zawołał siostrzeniec – chcąc bronić sprawy Bożego Narodzenia.

– Siostrzeńcze! – przerwał surowo starzec – obchodź sobie święta, jak ci się podoba, i pozwól mi, ażebym je obchodził na swój sposób.

– Ależ ty ich wcale nie obchodzisz, wuju.

– Tym lepiej – zostaw mnie tak, jak jestem. Wiele twoja wesołość przyniosła ci w życiu!

– Przyznaję, że nie zawsze umiałem korzystać z okoliczności, ale mniejsza o to. Wracając do świąt Bożego Narodzenia (oprócz poszanowania, należnego świętej pamiątce, jaką w tym dniu obchodzimy) jest to dla mnie najpiękniejsza chwila w roku: chwila dobroci, przebaczenia uraz, zabawy, przyjemności; jest to dzień, w którym wszyscy, mężczyźni, kobiety i dzieci cieszą się i radują, zapominając o różnicy majątku i stanowiska, w bliźnich widzą tylko braci i towarzyszów pracy. Dlatego też chociaż dzień ten nie przyniósł mi nigdy złota ani srebra, wiele mu winien jestem, i z radością wołam: „Niech będą pochwalone święta Bożego Narodzenia!".

Buchalter, przysłuchujący się ze swej izdebki tej rozmowie, mimowolnie przyklasnął, lecz spostrzegłszy natychmiast, że popełnił niedorzeczność, schwycił w pomieszaniu cęgi, chcąc niemi poprawić ogień, i zagasił niechcący ostatnią iskierkę.

– Niech no raz jeszcze posłyszę coś podobnego – zawołał rozgniewany Scrooge, zwracając się w stronę buchaltera – to zamiast świątecznej kolędy dostaniesz pan dymisję! Co do pana – rzekł do siostrzeńca – jesteś znakomitym mówcą, i dziwię się, że nie zasiadasz w parlamencie.

– Nie gniewaj się, wujaszku – oto, wiesz co, lepiej przyjdź do nas jutro na obiad.

Scrooge się zaperzył.

– Idź do diabła! Tak, idź do diabła! – zawołał z uniesieniem.

– Ależ dlaczego, wujaszku?... dlaczego?...

– Po coś się ożenił? – zapytał Scrooge.

– Byłem zakochany.

– Byłeś zakochany! – mruknął Scrooge. – Głupstwo – głupstwo! Dobranoc.

– Mój wujaszku, wszakże i przed ożenieniem nigdy mię nie odwiedzałeś?

– Dobranoc – rzekł Scrooge.

– Nic od ciebie nie żądam, o nic cię nie proszę, czemuż nie możemy być przyjaciółmi?

– Dobranoc!

– Boli mnie, bardzo mię boli twoja zaciętość, wuju. Cóż mi możesz zarzucić? Przyszedłem dziś do ciebie dla uczczenia święta Bożego Narodzenia i pomimo przykrości, jaka mię tu spotkała, będę się cieszył i radował. Tak więc, wuju, życzę ci świąt wesołych!

– Dobranoc! – syknął Scrooge.

Siostrzeniec wyszedł z pokoju, nie wyrzekłszy już ani słowa. Zatrzymał się jeszcze chwilkę przed drzwiami buchaltera, aby powtórzyć mu swoje życzenia, a biedny człowiek, choć do szpiku kości przemarznięty, goręcej je przyjął od starego Scrooge'a, i dziękując serdecznie, wyprowadził gościa aż do sieni.

– Masz tu drugiego głupca, szaleńca! – mruknął Scrooge z gniewem. – Mój buchalter, nędzarz, zarabiający 15 szylingów tygodniowo, obarczony żoną i dzieciakami, mówi o wesołych świętach! Dalibóg, w domu wariatów są chyba rozsądniejsi ludzie.

Ów szaleniec tymczasem, pożegnawszy w sieni młodzieńca, wprowadził dwie nowe osoby. Byli to dwaj panowie, ujmującej postawy; zdjąwszy kapelusze, stanęli przed biurkiem Scrooge'a, trzymając w ręku jakieś papiery i regestry.

– Dom handlowy, Scrooge & Marley? – rzekł jeden z nich, zajrzawszy w listę, i składając głęboki ukłon bankierowi. Czy mam zaszczyt mówić z panem Scrooge, czy z panem Marley?

– Pan Marley nie żyje od lat siedmiu – odpowiedział mrukliwie Scrooge. – Dzisiejszej nocy będzie lat siedem, jak umarł.

Nie wątpimy, że pozostały wspólnik w swoim i nieboszczyka imieniu zechce wesprzeć nas hojnym datkiem – rzekł nieznajomy, podając Scrooge'owi pełnomocnictwo do zbierania składek. Na ten niemiły dźwięk wyrazu: hojny Scrooge zmarszczył brwi, potrząsnął głową i oddał nieznajomemu papiery.

– W tej radosnej chwili, szanowny panie Scrooge – rzekł tamten, biorąc pióro – mamy niepłonną nadzieję zebrać dla biednych i niezamożnych braci naszych tak bardzo potrzebne wsparcie. Jest tysiące takich, którym zbywa na pierwszych potrzebach, setki tysięcy innych, walczących sił ostatkiem dla zapewnienia bytu swym rodzinom.

– Czy to nie ma więzień? – zapytał Scrooge.

– Och! jest ich aż zanadto – odparł nieznajomy, upuszczając pióro.

– A domy przytułku? – mówił dalej Scrooge – czyż byłyby zamknięte?

– Przeciwnie, panie – rzekł drugi – i niech Bóg broni, aby to miało nastąpić.

– A domy zarobkowe! – A prawa o ubogich i żebrakach? – zawołał Scrooge.

– Domy są pełne, a prawo obmyśla środki ratunku i pomocy.

– A ja się tak przeraziłem tym, coś mi pan powiedział, sądziłem bowiem, że jakieś nieszczęście powstrzymało działalność tych pożytecznych zakładów. Niewymownie cieszę się z mojej pomyłki.

– Niestety, instytucje te nie są w możności zaspokojenia potrzeb strasznej nędzy. Dlatego staramy się, korzystając z radosnej chwili, zebrać trochę pieniędzy na mięso, chleb i węgiel dla tych nieszczęśliwych, którym trzeba koniecznie przyjść z pomocą, ponieważ przykra pora roku najdotkliwiej i najboleśniej odczuwać każe niedostatek.

– Ileż pan dobrodziej każe wpisać?

– Nic! – odpowiedział Scrooge.

– Zapewne pragnie pan ukryć nazwisko?

– Pragnę, żebyście mi, panowie, dali pokój. Ponieważ zapytujecie mnie, czego sobie życzę, taka jest moja odpowiedź. Ja sam nie weselę się wcale na Boże Narodzenie, skądże więc dziwne żądanie, żebym dostarczał próżniakom środków do zabawy i rozrywki? Płacę podatki, przyczyniam się więc do utrzymania zakładów, o których mówiłem – kosztują one bardzo dużo – a ci, którym tam jest niedogodnie, niech sobie szukają gdzie indziej przytułku.

– Są tacy, którzy się docisnąć nie mogą – są inni, którzy woleliby raczej umrzeć, niż...

– Ach, jeżeli wolu umrzeć – przerwał Scrooge – tym lepiej – tym sposobem uniknie się przeludnienia. Zresztą, wybaczą mi panowie, nie znam się na tym i nie mam czasu. – Gdyby pan sobie życzył obznajomić się.

– To do mnie nie należy; człowiek ma dosyć zajęcia z własnymi interesami. Dobranoc panom!

Zrozumiawszy na koniec, iż wszelkie przedstawienia są daremne i żadnego nie przyniosą rezultatu, nieznajomi odeszli. – Scrooge wziął się na nowo do pracy, zadowolony z siebie i w daleko lepszym niż zwykle humorze.

Tymczasem mgła gęstniała, i ciemność stała się prawie nieprzejrzaną; na ulicy widać było ludzi z zapalonymi pochodniami i latarniami, migających tu i ówdzie i ofiarujących swe usługi woźnicom, aby biec przed końmi i prowadzić je po drodze. Odwieczna wieżyca kościelna, z której starożytny dzwon zdawał się wyglądać ciekawie przez gotyckie okno na Scrooge'a, siedzącego przy biurku, znikła zupełnie we mgle, a zegar kościelny bił godziny, pół godziny i kwadranse z tak przedłużonym jękiem, jak gdyby szczękał zębami. Zimno wzrastało. Gromadka rzemieślników, zajętych nitowaniem rur gazowych, rozpaliła na rogu ulicy wielkie ognisko, około którego cisnął się tłum obdartych i drżących z zimna ludzi dorosłych i dzieci. Grzali sobie ręce i pożerali niebieski płomień wzrokiem zachwycenia, wdzięczności i chciwości. Zamarzł kran od wodociągu, a wiszące wkoło niego grube, lodowate sople, przystroiły go w lodowatą brodę, komiczną i przerażającą.

Błyszczące światła z okien magazynów rzucały czerwonawy odblask na blade twarze przechodniów. Sklepy kolonialne, rzeźników i przekupniów drobiu wyglądały wspaniale, i trudno było przypuszczać, aby tylko dla zysku nęcił oko artystyczny przepych tych wystaw. Lord – Major w potężnym zamku Mansion-

House wydawał rozkazy kucharzom i piwniczym, co do przygotowania uroczystej wilii, jak wypada na Lorda-Majora; a biedny krawiec, skazany przez niego w przeszłym tygodniu na pięć szylingów kary za pijaństwo, przygotowywał na poddaszu budyń, i chuda jego małżonka z dzieckiem na ręku biegła do sąsiedniego rzeźnika, aby kupić kawałek mięsa.

Mgła się powiększa – mróz wzrasta! Mróz trzaskający, srogi.

Mały ulicznik, właściciel zsiniałego noska, pochylił się pod drzwi Scrooge'a, chcąc go uczcić piosenką, lecz po pierwszych wyrazach: „Hej, kolęda – kolęda!" Scrooge porwał leżącą linię z gestem tak wyrazistym, że przerażony śpiewak zemknął, jak oparzony.

Nadeszła wreszcie chwila zamknięcia kantoru.

Scrooge podniósł się z krzesła, dając tym sposobem niemy znak buchalterowi zamknięcia czynności i pozwolenie wyjścia, na co biedak już od dawna wyczekiwał. Zgasił więc szybko świecę i wziął do ręki kapelusz.

– Pewnie byś pan sobie życzył jutro nie zajrzeć nawet do kantoru? – rzekł Scrooge z nieukrywaną zgryźliwością.

– Jeżeli pan nie ma nic przeciwko temu...

– Mam bardzo wiele. A gdybym tez wytrącił panu ten dzień z pensji, dopiero byś się dąsał, żem cię skrzywdził! Och! – jestem o tym jak najmocniej przekonany. Buchalter gorzko się uśmiechnął.

– A jednak wcale cię nie obchodzi moja krzywda i strata, jaką ponoszę, płacąc za dzień, w którym nie będę miał z pana żadnego użytku.

Buchalter ośmielił sit; zrobić uwagę, że to się zdarza tylko raz do roku.

– Wielka mi racja! Dziwne usprawiedliwienie bezkarnego sięgania do cudzej kieszeni, dlatego, że to jest 25 grudnia – odpowiedział Scrooge, zapinając surdut pod górę. – No, cóż robić,

muszę darować dzień jutrzejszy, proszę tylko wynagrodzić mi tę stratę i następnego dnia przyjść do kantoru wcześniej, niż zwykle.

Buchalter przyrzekł uroczyście, a Scrooge wyszedł, ruszając ramionami i pomrukując o lenistwie i próżniactwie urzędników. W mgnieniu oka zamknięto kantor, buchalter, pociągnąwszy aż do pasa końce wełnianego szalika, skurczył się we czworo i spieszył, o ile pozwalała ciemność, potykając się na szklistym chodniku, wyszlifowanym przez uliczników. Wreszcie skręcił w zaułek, ciągle przyspieszając kroku, żeby miał jeszcze czas zagrać z dziećmi w ślepą babkę.

Rozdział II

W domu

Scrooge zjadł lichy obiad w lichej restauracji, gdzie się zwykle stołował. Przeczytawszy wszystkie dzienniki i uprzyjemniwszy sobie wieczór notowaniem w pugilaresie zysków, w ciągu dnia osiągniętych, oraz nowych planów i pomysłów na pojutrze, wstał na koniec koło północy i poszedł do siebie, aby się spać położyć.

Zajmował on lokai nieboszczyka wspólnika, w którym niegdyś mieszkali razem. Lokal ten składał się z kilku ciemnych pokoi, mieszczących się w dawnym, ponurym budynku, w zakręcie wąskiej uliczki, tak dziwnie odosobnionym, że mimowolnie nasuwało się każdemu na myśl, iż ukrył się tu niegdyś w odległej młodości, grając w chowanego z innymi domami, a zmyliwszy drogę, nie mógł się już wydostać. Dziś budynek ten był stary i tym bardziej ponury, że nikt w nim nie mieszkał, oprócz Scrooge'a, inne bowiem lokale wynajmowano na kantory i biura kupieckie. Dziedziniec był tak ciemny, że nawet Scrooge, który znał doskonale niemal każdy kamyk, musiał iść po omacku, pomagając sobie rękami. Mgła i gołoledź zawisły na ponurych drzwiach domu, zdawało się, iż duch zimy rozsiadł się na progu, pogrążony w smutnym zamyśleniu.

Ale wróćmy do rzeczy. Młotek do kołatania, znajdujący się u drzwi zamiast dzwonka, był sobie jak wszystkie młotki, może tylko nieco za gruby.

Scrooge widywał go rano i wieczór codziennie, odkąd mieszkał w tym domu. Pamiętać też musimy, że Scrooge, jak przystało

na prawdziwego mieszkańca Londynu, nie posiadał ani szczypty tego, co ludzie nazywają wyobraźnią; nie pomyślał też ani razu o Marleyu od chwili obojętnej wzmianki, jaką zrobił, mówiąc o śmierci wspólnika przed siedmiu laty. Proszę mi więc wytłumaczyć, jakim sposobem Scrooge, kładąc klucz w zamek, (nie używając żadnych czarodziejskich zaklęć), ujrzał w młotku nie młotek, ale... twarz Marleya!

Tak jest, powiadam wam, twarz Marleya. Nie był to cień zamglony, niewyraźny, jak inne przedmioty, znajdujące się na dziedzińcu – przeciwnie, zjawisko okolone było przerażającym blaskiem, podobnym np. do zgniłego raka morskiego w kącie ciemnej piwnicy. Wyraz twarzy Marleya nie miał ani śladu gniewu, patrzała na Scrooge'a, jak to zwykle czynił Marley, spod okularów, podniesionych na czoło widma. Włosy rozrzucone dziwacznie, jak gdyby za podmuchem wiatru, a choć oczy były otwarte, lecz stały słupem, najzupełniej nieruchome. – Te oczy, w połączeniu z grobową bladością, czyniły tę twarz straszną, lecz przerażenie, jakiego doznał Scrooge na ten widok, pochodziło raczej z jakiejś wewnętrznej przyczyny. Gdy się jednak dobrze wpatrzył w okropne widziadło, ujrzał po prostu – młotek.

Byłoby kłamstwem twierdzić, że Scrooge nie zadrżał, że nie doznał bardzo przykrego wrażenia, jakiego nie doznawał już od lat najmłodszych, wkrótce jednak ochłonął, nacisnął klucz, obrócił nim mocno i wszedł do sieni, zapaliwszy świeczkę, którą zwykle nosił przy sobie.

Nim zamknął drzwi, stał przez chwilę w niepewności; obejrzał się, jak gdyby był przygotowany do nowego przerażenia, na widok cienkiego harcapa Marleya, wsuwającego się przez dziurkę od klucza. Ale za drzwiami było ciemno: młotek wisiał na swoim miejscu. Scrooge ochłonął i wykrzyknąwszy: „Głupstwo!"

gwałtownie trzasnął drzwiami. Łoskot i stuk wstrząsnął jak grom całym domem. Każdy pokój na piętrze, każda beczka w piwnicy handlarza win, wydały odgłos w tym olbrzymim koncercie huku. Scrooge atoli nie należał do ludzi, których echo może przerazić. Zamknął starannie drzwi, przeszedł sień i wszedł na schody, świecąc sobie po drodze cienką świeczką.

Może widzieliście kiedy gościnne staroświeckie schody, po których sześciokonna kareta mogłaby przejechać wygodnie? Zapewniam was, że schody Scrooge'a tak były szerokie, iż nawet karawan mógłby się na nich pomieścić. – Może dlatego wydawało mu się, że przed nim postępuje orszak pogrzebowy. Sześć płomieni gazowych zaledwie mogłoby oświetlić sień i te schody, wyobraźcie więc sobie, jak tam było ciemno przy łojówce bankiera.

Szedł dalej na górę, obojętny na to wszystko. Ciemność niewiele kosztuje, więc Scrooge bardzo ją szanował. Nim jednak zamknął drzwi od mieszkania, zlustrował cały lokal, aby się przekonać, czy wszystko jest w porządku.

Salon, pokój sypialny, skład rupieci i gratów, wszystko było, jak należy. Zajrzał pod stół – nikogo – nikogo pod kanapą – mały ogień na kominku, filiżanka i łyżeczka na stoliku, do ognia przystawiony garnuszek z kleikiem (od kilku dni Scrooge jakoś niedomagał). Nikogo pod łóżkiem, nikogo w szlafroku, zawieszonym na kołku w postawie budzącej pewne podejrzenie. Skład rupieci, ja zwykle: stare cęgi, haczyki żelazne, kilka par zużytych butów, kosze połamane, zardzewiałe gwoździe, umywalnia, waliza, kuferek itp.

Zupełnie uspokojony, popchnął zasuwkę, raz jeszcze obejrzał zamek, zakręcił klucz dwa razy; tak zabezpieczony od wszelkiej niespodzianki rozebrał się, zdjął krawat, włożył szlafrok, pantofle, szlafmycę i zasiadł przed kominkiem, aby wypić przygotowany kleik.

Mówiłem już, że ogień był niewielki, – rzeczywiście był tak maleńki, iż nie miał żadnego znaczenia, zwłaszcza w noc tak zimną. Musiał więc Scrooge bardzo blisko się przysunąć, nim zdołał odczuć trochę ciepła z tak małego węgielka, że każdy utrzymałby go na dłoni. Stary komin składał się z kafli flamandzkich, przedstawiających ustępy z Pisma Świętego. Na jednym był Kair na drugim Abel, dalej córka Faraona – królowa Saba, aniołki, spadające z nieba na chmurach, podobnych do piernatów; Abraham – król babiloński, Baltazar, apostołowie w łódkach, mających kształt salaterek i półmisków, słowem mnóstwo postaci, zdolnych przyjemnie rozerwać i zająć; pomimo to twarz Marleya, od lat siedmiu zmarłego, przyćmiewała dziś wszystko. Widział ją teraz ciągle, już nie jako zjawisko, ale jako wspomnienie, którego pozbyć się nie mógł.

Głupstwo! – zawołał nagle – ech! głupstwo! – I zaczął chodzić wzdłuż i wszerz pokoju. Powtórzywszy ten spacer kilkanaście razy, siadł znowu. W chwili, kiedy spuszczał głowę na tylne oparcie fotela i podniósł oczy w górę, wzrok jego padł przypadkiem na nieużywany od dawna dzwonek nad kominkiem, który dla niewiadomych mu celów połączony był drutem z piwnicą. Z nadzwyczajnym zdziwieniem i przerażeniem ujrzał, że dzwonek zaczął się teraz poruszać, z początku bardzo wolno, wydając dźwięk cichy, stłumiony, potem coraz silniej, gwałtowniej, wreszcie w całym mieszkaniu zaczęły wszystkie dzwonki dzwonić na gwałt.

Trwało to krótko – może pół minuty, najwyżej minutę; ale ta minuta była dla Scrooge'a godziną. Dzwonki nagle zatrzymały się wszystkie naraz. Ale ciszę przerwał teraz inny odgłos, wydobywający się głucho z otchłani, jak gdyby ktoś przeciągał długi żelazny łańcuch po wszystkich beczkach, złożonych w piwnicy winiarza. Przypomniał sobie Scrooge opowiadanie niańki,

iż w domach, gdzie się ukazują duchy, ciągną one za sobą więzy i okowy.

Słyszał, jak drzwi piwnicy otwarły się z łoskotem, słyszał dokładnie zgrzytliwy odgłos łańcuchów, posuwających się w górę, szurających w sieni, odgłos, rosnący wyraźnie na schodach, prowadzących do jego mieszkania.

– Głupstwo! – głupstwo! – wszystko to głupstwo. Zdaje mi się!

Zbladł jednak, gdy straszne widmo bez żadnej przeszkody przecisnęło się znowu przez zamknięte drzwi, wsunęło do pokoju i ukazało jego oczom. W chwili, gdy duch się zjawił, maleńki ogień na kominku wzmógł się gwałtownie, a w trzasku węgli dało się wyraźnie słyszeć: „Poznaję go, poznaję: to widmo Marleya". Potem ogień zgasł nagle.

Taż sama twarz – ta sama. Marley z długim harcapem, w zwykłej kamizelce, w codziennych krótkich spodniach, w butach węgierskich, których jedwabne chwasty poruszały się w takt z harcapem, w zaplamionym surducie. Długi łańcuch, przytwierdzony u bioder – okręcał go kilkakrotnie i tworzył rodzaj ogona, składającego się z dziwacznej mieszaniny skutych razem ryglów, kłódek, kluczy, ksiąg buchalteryjnych, opatrzonych mosiężnymi klamrami, i z ciężkich, brudnych worków. Ciało widma było tak przezroczyste, że Scrooge widział wyraźnie dwa guziki, przyszyte z tyłu u stanu surduta.

Scrooge słyszał często, że Marley nie miał serca i wnętrzności, lecz nigdy temu nie wierzył; dziś przekonał się jednak o tym naocznie.

Przekonał i nie – albowiem jeszcze nie wierzył; chociaż wzrokiem przenikał widmo, chociaż je widział przed sobą, chociaż czuł lodowaty wzrok zastygłych źrenic, chociaż poznał wyraźnie deseń jedwabnej chustki, pokrywającej głowę i związanej pod brodą

(kupili niegdyś razem cały tuzin tych chustek) – jeszcze nie chciał uwierzyć, walcząc z własnymi zmysłami.

– Co to ma znaczyć? – rzekł na koniec zimno. – Czego ode mnie żądasz?

– Wiele! bardzo wiele!

To głos Marleya! – nie ma żadnej wątpliwości.

– Kto jesteś?

– Zapytaj, kim byłem?

– Kimże więc byłeś? – rzekł Scrooge, podnosząc głos. – Jak na upiora, zbyt dowcipnie chwytasz za słówka.

– Za życia byłem twoim wspólnikiem – zwałem się Jakub Marley.

– Czy mógłbyś... czy możesz usiąść? – zapylał Scrooge, patrząc wciąż z niedowierzaniem.

– Mogę.

– Więc siadaj.

Stawiając to żądanie, Scrooge miał nadzieję, iż tak przezroczyste widmo nie będzie mogło spełnić lej prostej czynności, skutkiem czego nastąpi zaraz wyjaśnienie całego zjawiska. Lecz widmo siadło naprzeciw niego, po drugiej stronie kominka, bez najmniejszej trudności.

– Jeszcze nie wierzysz? – rzekł duch.

– Nie wierzę – odpowiedział Scrooge.

– Jakiegoż więc chcesz dowodu, oprócz świadectwa zmysłów?

– Sam nie wiem.

– Czy wątpisz o dokładności swego wzroku, słuchu?

– Wątpię, ponieważ najmniejsza rzecz może spowodować złudzenie: lekka niestrawność oddziaływa na zmysły, i może ty jesteś tylko niedogotowanym kawałkiem wołowiny, niestrawioną cząsteczką tłuszczu, sera – nie wiem czego? Nie czuć cię jakoś trumną.

Scrooge nigdy nie dowcipkował, tym razem uciekł się do tego środka, aby zyskać na czasie, zebrać myśli, przezwyciężyć strach, gdyż głos widma przejmował go dreszczem i ścinał mu szpik w kościach.

Patrzeć z musu w te nieruchome, szkliste oczy było dla Scrooge'a straszliwą męczarnią. Oprócz tego w powietrzu, otaczającym widmo, było coś nieziemskiego. Scrooge nie tylko czuł, ale widział to powietrze, bo chociaż widmo siedziało nieruchomo, lecz włosy jego, chwaściki od butów, cały ubiór w ciągłym były poruszeniu, jakby pod wpływem pary, wydobywającej się z kotła.

– Czy widzisz to pióro? – rzekł nagle Scrooge do ducha, chcąc na chwilę odwrócić od siebie jego wzrok nieruchomy.

– Widzę – odpowiedział upiór.

– Kiedy nie patrzysz w tę stronę? – zauważył Scrooge.

– To mi nie przeszkadza widzieć go dokładnie.

– Niech więc i tak będzie – mówił dalej Scrooge – przypuśćmy, że je połknąłem. Ileż z tego wywiąże się cierpień, gorączki, widziadeł. A wszystkie mego własnego utworu. Głupstwo! powtarzam – głupstwo!...

Na ten wyraz duch zawył przeraźliwie i wstrząsnął łańcuchami, które wydały szczęk przeciągły, grobowy, straszny. Scrooge, aby nie upaść, wpił się paznokciami w poręcz fotela. Lecz nie dość na tym – duch, któremu widocznie za gorąco było w pokoju, zdjął chustkę, związaną pod brodą, a wtedy dolna szczęka z suchym chrzęstem opadła mu na piersi. Scrooge padł na kolana i zakrył twarz rękoma.

– Litości! – zawołał – litości! straszny cieniu! Dlaczego przyszedłeś mię dręczyć?

– Duszo znikczemniała – odpowiedziało widmo – wierzysz, czy nie wierzysz teraz?

– Wierzę – jęknął Scrooge – muszę wierzyć. Choć nie rozumiem, po co duchy włóczą się po ziemi i dlaczego mię prześladują?

– Przeznaczeniem człowieka – mówiło widmo – jest żyć wspólnym życiem z braćmi swymi, ludźmi; razem z nimi pracować dla wspólnego dobra, razem cierpieć w niedoli, dzielić ich radość i cieszyć się ich szczęściem. Kto się od swych bliźnich odłącza za życia, ten po śmierci skazany na wieczne tułactwo (jak ja, nieszczęsny!), staje się martwym świadkiem tych wszystkich spraw i rzeczy, w których nigdy nie brał udziału.

Duch jęknął znowu, zadzwonił łańcuchami i rozpacznie ręce załamał.

– Jesteś w kajdanach! – rzekł Scrooge, drżąc – i za co?

– Dźwigam ten ciężki łańcuch, który sam kowalem dla siebie całe życie – odpowiedziało widmo.

Tak jest, sam spajałem ogniwo z ogniwem, sani dorabiałem łokieć za łokciem, sam dobrowolnie skrępowałem nim ciało moje i dźwigać go będę przez całą wieczność. Dziwnymi ci się wydają te więzy, przypatrz im się bliżej.

Scrooge drżał, jak liść.

– Może chcesz poznać – mówił dalej dziwny gość – długość i ciężar łańcucha, jaki ty sam ciągniesz za sobą? Siedem lat temu był on równie długi i ciężki, jak ten, który tutaj widzisz. Dorabiałeś go potem jeszcze przez lat siedem. Piękny musi być teraz!

Scrooge z trwogą obejrzał się na wszystkie strony, czy nie ujrzy poza sobą kilkudziesięciu sążni ciężkiego łańcucha, ale nic nie zobaczył.

– Jakubie! – rzekł błagalnie – mój dobry Jakubie Marley, powiedz mi co innego. Daj mi jakie słowo nadziei i pociechy.

– Nie mam prawa, nie mam władzy pocieszania. Pociechę daje kto inny, Ebenezerze Scrooge, niosą je inni posłańcy, innym niż ty

ludziom. Nie mogę ci wszystkiego opowiedzieć: związane mam usta. Mało mi pozostaje zresztą czasu. Nie wolno mi odpoczywać, nie wolno się zatrzymać, nie wolno przebywać długo w jednym miejscu. Wiesz dobrze, iż za życia nie wyszedłem nigdy ani myślą, ani uczuciem poza obręb naszego kantoru, żem nigdy nie przekroczył progów naszej kasy, to też teraz długą i ciężką podróż mam jeszcze do odbycia.

Scrooge miał przyzwyczajenie wsadzać ręce do kieszeni w chwilach głębokiego zamyślenia. Uczynił to obecnie, nie podnosząc się z ziemi.

– Taka wędrówka... szepnął – straszne... straszne... To dlatego, żeś był zamknięty w kantorze? Opóźniłeś się z tym za życia?

– Opóźniłem! powiedz raczej: zaniedbałem! – rzekł duch. – Cóż mię poza kantorem obchodziło?

– Od siedmiu lat – wybąknął Scrooge w zamyśleniu – i ciągle w drodze?...

– Tak, bez odpoczynku, bez wytchnienia; wieczne zgryzoty i męki sumienia.

– Czy szybko podróżujesz?

– Na skrzydłach wiatru.

– Więc chyba obleciałeś już świat cały? Upiór wydał jęk przytłumiony, na który Scrooge'owi włosy powstały na głowie, i oddech zaparł się w gardle.

– Okuty, uwięziony, skazany na wieczne tułactwo, błąkać się będę bez końca, rozumiesz? Bez końca patrzeć na to, czego nie chciałem widzieć podczas krótkiego życia. Nie chciałem brać udziału w ciężkiej pracy ludzkości, przez Boga wyznaczonej nam na ziemi, a teraz wieczność cała pokuty i żalu nie wynagrodzi tamtych chwil straconych, których mogłem użyć tak dobrze! Sam kułem własny

łańcuch, sam zgotowałem sobie te męczarnie – zaniedbaniem, zapomnieniem.

– Byłeś zawsze bardzo sumienny, bardzo akuratny, zręczny – wtrącił Scrooge, który przebiegał myślą własny żywot.

– Interesa! – jęknął duch, znowu załamując ręce. – Interesa! Czyż ludzkość była moim interesem? I cóż mię obchodziła miłość bliźniego, litość, pobłażanie, dobroć – które są najważniejszym naszym interesem? To przecież powinno było mnie zajmować! Interesa handlowe, zyski, samolubstwo – czyż na to nas Bóg stworzy!? Okropny, straszny obłęd! Wniósł w górę obciążone okowami ręce, jak gdyby chciał okazać ten bolesny owoc swych prac, zabiegów, wysileń; następnie z rozpaczą spuścił je ku ziemi...

– I dzisiaj, właśnie dzisiaj – ciągnął głucho – w chwili kończącego się roku najcięższe znoszę męki. Dziś, kiedy gwiazda Boska wskazuje nam drogę, prowadzi do Betlejemskiej stajenki, jak przywiodła mędrców do żłobka Zbawiciela. A ja go nie widziałem, jakby nie było na ziemi ubogich, nędznych mieszkań, do których mię mogła prowadzić jej Boska, cudowna światłość! Na te słowa Scrooge uczuł nową trwogę, jakieś dziwne wspomnienie błysnęło mu w duszy, drżał i trząsł się, jak w febrze.

– Posłuchaj mnie – zawołał duch łkającym głosem – czas ucieka, moja chwila nadchodzi!

– Słucham – rzekł Scrooge płaczliwie – słucham, lecz Jakubku, ulituj się nade mną, nie mów długo, odejdź.

– Nie wiem, za czyją wolą stanąłem przed tobą widomy, w ziemskiej postaci, niewidzialny jestem przy tobie bardzo często.

Na tę niemiłą wiadomość Scrooge uczuł dreszcz śmiertelny; pot lodowaty zaczął mu spływać z czoła.

– Dziś przyszedłem cię ostrzec. Pozostał jeszcze słaby promyczek ratunku, nadzieja uniknięcia mego losu. Tę nadzieję przyniosłem ci,

Ebenezerze.

– Byłeś zawsze dobrym wspólnikiem, życzliwym przyjacielem, Marleyu... zapisałeś mi cały majątek... – rzekł Scrooge.

Dziwny, okropny uśmiech wykrzywił twarz Marleya, gdy usłyszał te słowa.

– Nawiedzą cię jeszcze trzy duchy – dodało widmo.

Scrooge zbladł, jak trup.

– Więc to ma być ta nadzieja, o której mówiłeś, Jakubie? – zapytał konającym głosem.

– Tak.

– Ja... ja bym wolał co innego... – rzekł Scrooge. – Ja nie mogę...

– Bez tych odwiedzin – nie ma dla ciebie ratunku. Przygotuj się i czekaj pierwszego z nich jutro, gdy na wieży wybije pierwsza po północy.

– A czyby wszyscy trzej nie mogli przyjść od razu? toby już było lepiej – i prędzej – szepnął Scrooge.

– Drugi zjawi się o tejże godzinie nocy następnej, trzeci, w trzecią noc z kolei, kiedy zegar wybije północ. Mnie nie ujrzysz już nigdy, lecz dla własnego dobra zapamiętaj, co zaszło między nami.

Widmo podniosło chustkę i podwiązało nią głowę. Domyślił się tego Scrooge, posłyszawszy chrzęst zębów, gdy obie szczęki znowu zetknęły się razem. Wzniósł wtedy oczy i ujrzał, że duch stoi przed nim i poprawia na sobie łańcuch.

Widmo cofało się zwolna w stronę okna... Za każdym jego krokiem okno się odmykało coraz bardziej, tak, że gdy duch stanął przy nim, było już całkiem otwarte. Marley dał znak Scrooge'owi, aby się przybliżył. Usłuchał go, lecz gdy był o dwa kroki, duch wyciągnął rękę, aby nie szedł dalej. Scrooge się zatrzymał, nie tyle przez posłuszeństwo, ile po wpływem strachu, w chwili bowiem gdy widmo podnosiło rękę, usłyszał w powietrzu jakieś pomieszane

głosy: jęki rozpaczy, skargi, żale i bolesne łkania. Marley wsłuchiwał się przez chwilę w te odgłosy, westchnął głęboko, w tym westchnieniu złączył się z czyśćcowym chórem i rozpłynął w ponurej nocy.

Scrooge gorączkowo zbliżył się do okna, i pchnięty niewidzialną siłą, wyjrzał na zewnątrz.

Powietrze pełne było błędnych cieniów i ogników, wydających w przelocie głębokie westchnienia. Każdy cień dźwigał okowy, podobne do łańcucha Marleya, niektóre skute były po kilkoro razem, żaden nie bujał wolno. Wielu Scrooge znał osobiście: – z jednym był nawet w bliskich stosunkach handlowych – poznał go natychmiast po białej kamizelce, złotych okularach i złośliwym uśmiechu. Miał on u prawej nogi ogromną, ciężką kulę i olbrzymi łańcuch; jęczał i usiłował przyjść z pomocą jakiejś biednej kobiecie z dzieckiem na ręku, żebrzącej o wsparcie. Udręczenia cieniów na tym głównie polegały, iż na próżno starali się wyświadczyć jakiś dobry uczynek, przez zaniedbanie którego za życia słali się przyczyną nieszczęścia bliźniego. Teraz wszystko było daremne. Za późno!... za późno!... za późno!...

Czy te straszne istoty rozpłynęły się w mgle, czy je mgła osłoniła, Scrooge nie mógł poznać – cienie i głosy niknęły stopniowo, cichły, przepadły gdzieś w przestworach; powróciła noc taka, jaka była w chwili, gdy Scrooge wchodził do mieszkania. Zamknął okno starannie, obejrzał drzwi, którymi się duch prześliznął. Zamknięte były na dwa spusty, klamka, klucz i zasuwka były na swoim miejscu... Już chciał zawołać: „głupstwo!”, lecz tylko otworzył usta. Czy to skutkiem pracy w kantorze, czy wrażeń poprzednio doznanych, rozmowy z widmem, czy późnej godziny – czuł się niezmiernie zmęczonym; zawlókł się do łóżka, rzucił na nie, nie rozbierając, i padł, pogrążony w śnie letargicznym.

Rozdział III

Pierwszy z trzech duchów

Scrooge ocknął się nagle – w pokoju było ciemno, tak że patrząc z łóżka, zaledwie mógł rozeznać przezroczyste okno na zupełnie czarnym tle ściany. Gdy wpatrywał się w ciemność z natężeniem, zegar sąsiedniego kościoła wybił cztery kwadranse. Scrooge nadstawił uszu.

Ciężki dzwon uderzał zwolna sześć, siedem, osiem, dziewięć i tak dalej, aż do dwunastu. Północ! Było kilka minut po drugiej, gdy spać się położył. Widać, zegar źle idzie. Może sopel lodu wpadł w środek? Północ!...

Scrooge nacisnął sprężynę leżącego przy nim repetiera, aby sprawdzić godzinę. Maleńki młoteczek zegarka uderzył szybko dwanaście razy i zatrzymał się.

– Co to znaczy?! To być nie może! – rzekł bankier – czyżbym przespał dzień cały i część następnej nocy? Przecież chyba słońce się nie pomyliło?

Zaniepokojony, wyskoczył z łóżka i po omacku zbliżył się do okna. Rękawem szlafroka przetarł zamarznięte szyby, aby cokolwiek dojrzeć, lecz niewiele zobaczył. Mgła była bardzo gęsta, mróz siarczysty; nie słyszał żadnego szmeru, żadnego ruchu, kroków, ani głosu, widocznie wszyscy spali, noc była zwyczajna, słońcu nic się nie stało. Odetchnął spokojniej, bo w cóżby się obróciły jego weksle, płatne we dnie, gdyby noc objęła stałe panowanie nad światem!

Wracając do łóżka, zaczął jednak myśleć nad tym wszystkim, co go spotkało w przeciągu tej doby. Były to rzeczy dziwne i doprawdy niezrozumiałe. Im więcej się zastanawiał, tym więcej wikłał się w myślach, których pozbyć się nie mógł. Widmo Marleya wielce go niepokoiło. Ilekroć wyrozumował sobie, że wszystko było snem lub przywidzeniem, skutkiem zmęczenia i niedomagania fizycznego, a zatem – nie ma, o czym myśleć, głupstwo! – w tej chwili czuł, że głupstwem jest takie rozumowanie, i że właściwie dotąd nie rozwiązał pytania: czy to był sen, czy jawa?

Trwało to, dopóki zegar nie wydzwonił trzech kwadransów; wtedy przypomniał sobie, że widmo zapowiedziało mu odwiedziny ducha na pierwszą. To mu rozwiąże zagadkę; jeszcze kwadrans oczekiwania i czuwania. Był zresztą tak rozdrażniony, iż łatwiej by mu było schwytać księżyc zębami, aniżeli usnąć naprawdę.

Kwadrans ten wydał mu się niezmiernie długi, tak długi, iż kilkakrotnie przychodziło mu na myśl, że się zdrzemnął i nie słyszał bijącej godziny. Wreszcie dźwięk zegara uderzył czujne jego ucho.

– Bę – kwadrans – rzekł Scrooge.

– Bę – bę – wpół.

– Bę – bę – bę – trzy kwadranse.

– Bęęę – pierwsza, pierwsza! – wykrzyknął z radością. – Nikt nie przybywa!

Wymówił to, nim zegar ucichł, lecz w chwili, gdy przebrzmiało i rozpłynęło się w powietrzu ostatnie uderzenie, w pokoju zajaśniało żywe światło, a firanki nad jego łóżkiem rozsunęły się na obie strony.

Firanki się rozsunęły – boczne firanki, ku którym miał właśnie twarz zwróconą. Rozsunęły się gwałtownie, a Scrooge, zerwawszy

się na równe nogi, spotkał się oko w oko z nadziemskim zjawiskiem.

Dziwna to była postać dziecięca, a zarazem podobna do starca, który w dalekiej, bardzo dalekiej odległości, maleje w naszych oczach i zmniejsza się do kształtu dziecka. Bieluteńkie włosy starca spływały mu po szyi i ramionach, ale twarz była młoda, gładka, jak atłas, bez najmniejszej zmarszczki i błyszczała świeżym rumieńcem. Ramiona miał długie, żylaste ręce zdawały się posiadać niepospolitą siłę, nogi kształtne, zupełnie nagie. Na sobie miał białą tunikę ściągniętą w biodrach pasem, rzucającym żywe światło. W ręku trzymał zieloną gałązkę choiny, a przez szczególną sprzeczność z tą oznaką zimy, tunika jego przybrana była w wieńce i girlandy z najpiękniejszych kwiatów letnich. Lecz najdziwniejsze wrażenie sprawiał wspaniały wytrysk światła z jego głowy; zamiast kapelusza trzymał w ręku wielki spiczasty gasilnik, którym zapewne w chwilach smutku lub zamyślenia nakrywał głowę i przytłumiał to rażące światło. Wpatrując się bliżej, Scrooge nową dostrzegł osobliwość. Jaśniejący pas widziadła lśnił jakimiś migotliwym i ruchomym blaskiem, podobnym do płomienia na żarzących węglach, tak, że to miejsce pasa, które przed chwilą błyszczało, nagle stawało się zupełnie ciemne, a natomiast jasność biła znów z innego punktu; tym samym zmianom i drganiom ulegała i cała postać. Raz zdawało się, że jest to istota o jednej tylko ręce, jednej nodze, to znowu o dwudziestu może rękach i nogach chwilami ukazywał się tułów bez głowy, natychmiast potem głowa bez kadłuba, a niknące nagle członki pogrążały się w ciemności, żeby za chwilę błysnąć nowym światłem i uwydatnić całą postać taką, jaka się w pierwszej chwili ukazała.

– Panie – zapytał – czy ty jesteś duchem, którego przyjście było mi zapowiedziane?

– Ja nim jestem.

Głos był słodki i przyjemny, bardzo cichy, jak gdyby dolatujący z daleka.

– Któż jesteś? – pytał Scrooge.

– Jestem duch wszystkich ubiegłych wigilii Bożego Narodzenia.

Scrooge, nie wiedząc sam dlaczego, uczuł gwałtowną chętkę ujrzenia ducha z głową nakrytą gasilnikiem i po chwili wahania prosił go, aby to uczynił.

– Jak to! – zawołało widmo – więc chciałbyś przygasić to światło niebieskie, które ci przynoszę? Nie dość, że samolubstwo i niegodziwość ludzka zmusza mnie nieraz wciskać na głowę ten kapelusz, abym nie oświecał zbrodni, jeszcze i te jednostki, które ocalić pragnę.

Scrooge z pokorą zaczął się tłumaczyć, że nie miał zamiaru obrażenia ducha, że nie wiedział, wreszcie ośmielił się zapytać, co go rzeczywiście tu sprowadza?

– Twoje szczęście i przyszłość – odpowiedziało widmo.

Scrooge wynurzył wdzięczność, lecz pomyślał sobie, że sen niezakłócony i noc zupełnie spokojna byłyby także szczęściem. Duch odgadł widać wewnętrzną rozmowę, ponieważ dodał:

– Wreszcie – twoje nawrócenie. Uważaj! Wyciągnął rękę i z lekka schwycił bankiera za ramię.

– Powstań – i chodź ze mną.

Brr! – pomyślał Scrooge, który radby przekonać swego przewodnika, że czas, ani pogoda nie sprzyjają przechadzce, że miał wygrzane łóżko, a na dworze takie przejmujące zimno, że był za lekko ubrany, gdyż miał na sobie tylko szlafrok, pantofle i cienką szlafmycę, a nade wszystko, że jest chory i zakatarzony. Daremnie mówić o tym. Niepodobna było oprzeć się delikatnemu uściskowi ducha, lekkiemu, jak dotknięcie ręki dziecka, a silnemu zarazem, jak

żelazne kleszcze. Podniósł się, lecz spostrzegłszy, iż duch zmierza do okna, złożył ręce i pochylił się błagalnie.

– Jestem śmiertelny! – zawołał – przecież ja stąd upadnę.

– Pozwól, że cię tu dotknę – rzekł duch, kładąc mu rękę na sercu. – Teraz nie lękaj się niczego.

W mgnieniu oka przemknęli przez okno i znaleźli się na gościńcu, biegnącym środkiem pól i łąk szerokich. Miasto znikło w dali bez śladu. Jednocześnie mgła i ciemność nocy ustąpiły, zajaśniał pogodny, piękny dzień zimowy; śnieg błyszczący pokrywał ziemię.

– Mój Boże, dobry Boże! – zawołał Scrooge, składając ręce i rozglądając się na wszystkie strony ze zdumieniem. Wszakże tutaj spędziłem moje dziecięce lata!

Duch spojrzał nań z dobrocią. Słodki ten wzrok, trwający chwilkę, zbudził dziwne wzruszenie w sercu starca. Doznał nagle tysiącznych wrażeń, otoczyły go niewidzialnym rojem dawno zapomniane uczucia, nadzieje, myśli, pragnienia i marzenia, chęci, wspomnienia dawno minionych radości, kłopotów, prac i zajęć, od dawna – od bardzo dawna zapomnianych.

– Usta twe drżą – rzekł duch. – Co ci jest?

– Ech! to nic, to nic – odpowiedział Scrooge głosem bardzo wzruszonym. – To tak tylko! prowadź mię dalej, o, błagam!

– Czy przypominasz sobie tę drogę?

– Czy ją sobie przypominam! – zawołał Scrooge z zapałem – mogę iść po niej z zawiązanymi oczyma.

– Dziwna rzecz, żeś o niej przez tyle lat nie myślał – zauważył duch.

Szli wzdłuż drogi, a Scrooge poznawał każde drzewo, każde drzwi, każdą chałupę, płot, rów lub pagórek, wreszcie w dali ukazała się wioseczka, kościołek, mostek i wąska, a kręta struga. Spomiędzy chat wybiegło kilka koników chłopskich, siedzieli na nich małe

chłopcy, nawołując się radośnie i wzywając po imieniu innych chłopców, jadących na wozach i mieszczańskich bryczkach. Cała ta dzieciarnia, wesoła i gwarna, wydawała tysiące okrzyków radości, aż powietrze, poruszone tym hałasem, zawtórowało im podmuchem wiatru. – Są to cienie istot i rzeczy minionych – rzekł duch. – Nie wiedzą one wcale o naszej obecności, nie domyślają się jej zupełnie.

Wesołe grono zbliżało się szybko.

Scrooge poznawał chłopców i każdego nazywał po imieniu.

– Mój Boże! – Jaś – tak, Jaś – Franuś – a to Piotrek – tak, Piotruś. Cóż się to ze mną dzieje?

Cieszył się, tak, cieszył jak nigdy; jego oko, zwykle ponure, rzucało radosne blaski, serce biło mu gwałtownie. O mało nie wyskoczył ze skóry, usłyszawszy, jak sobie życzyli wzajemnie świąt wesołych, gdy który na skręcie drogi opuszczał gromadkę i oddalał się w boczną ulicę, prowadzącą do mieszkania rodziców, krewnych lub przyjaciół. A przecież – czymże było dla Scrooge'a Boże Narodzenie? co go mogło obchodzić Boże Narodzenie? jaki mu zysk przyniosło?

– Szkoła niezupełnie jeszcze opuszczona – odezwało się widmo. – Pozostało tam samotne, zapomniane dziecię!

Scrooge westchnął głęboko.

Minęli gościniec, skierowali się krętym, dobrze Scrooge'owi znajomym manowcem i zbliżyli się wkrótce do wielkiego budynku z ciemno – czerwonych, nietynkowanych cegieł. Była to pusta szkoła. Na dachu, ponad wejściem wisiał niewielki dzwonek. Budynek był obszerny, ale zaniedbany, ściany wilgotne, omszałe, okna potłuczone, drzwi spaczone. Kury gdakały na dziedzińcu i biegały po wszystkich kątach, w stajniach i szopach rosła trawa i zielsko. Zewnętrznej powierzchowności odpowiadało wnętrze! Wszedłszy do ponurego przedsionka i rzuciwszy okiem przez szereg

drzwi otwartych od kilku obszernych pokoi, widać było skromne, prawie biedne sprzęty, czuć w powietrzu zimną, spleśniałą woń zamknięcia; wszystko oddychało tutaj niedostatkiem, który kazał się domyślać, że mieszkańcy musieli ciężko pracować na kawałek chleba i zapewne często kładli się spać głodni.

Duch i Scrooge minęli sień i zbliżyli się do drzwi, leżących na stronie przeciwległej. Otworzyły się przed nimi, i ukazała się sala długa, smutna, pusta, a szeregi ławek i stołów z sośniny uwydatniały jeszcze tę pustkę. W rogu jednej ławki, w bliskości tlejącego ognia, siedziało samotne dziecię, pogrążone w czytaniu. Na ten widok Scrooge usiadł na ławce i gorzko zapłakał, poznawszy w tym dziecku siebie, jak zwykle wówczas, samotnego, opuszczonego i zapomnianego.

Najmniejszy szmer: pisk myszy, wojujących po kątach i dziurach, szelest wiatru poruszającego suchymi gałęziami na wpół zeschłej topoli, skrzyp otwieranych i zamykanych drzwi, trzask ognia na kominie, krople wody spadające z rury wpół obmarzniętej studni, słowem, najlżejszy szmer odbijał się w rozczulonym sercu Scrooge'a i podsycał strumienie łez, płynących mu z oczu.

Duch dotknął jego ręki i wskazał mu dziecię, zajęte czytaniem.

Nagle jakiś człowiek dziwacznie ubrany ukazał się za oknem. U pasa miał zawieszoną siekierę i prowadził za cugle osła, obładowanego drzewem.

– Ach, to Ali Basza! – zawołał Scrooge w uniesieniu – mój dobry, mój poczciwy Ali Basza! Poznaję go, poznaję! Raz w wigilię Bożego Narodzenia, gdy to dziecię siedziało tak, jak dziś, samotne, przyszedł je odwiedzić i zabawić; ach, jakeśmy się śmieli, jakeśmy krzyczeli!

Cóżby to był za widok dla poważnych kupców i bankierów, gdyby teraz ujrzeli Scrooge'a, marnującego tyle zapału i energii dla błahych wspomnień! gdyby usłyszeli, jak śmiejąc się i płacząc,

wydawał dziwaczne głosy, gdyby ujrzeli twarz jego, niezwykłym jaśniejącą blaskiem.

Zbliżył się do książki, którą czytało dziecko. – Tak! – zawołał – ta sama! Robinson Crusoe. Papuga, widzę ją, zielony korpus, żółty ogon, czub na głowie. „Biedny Robinson Crusoe", krzyczała, gdy opłynąwszy w łodzi bezludną wyspę, wracał do samotnego mieszkania.

– Ty wiesz – rzekł do ducha. – Papuga Robinsona, ta papuga! A otóż i Piętaszek! biegnie w cwał, aby ujść śmierci. Ludożercy! Prędzej, prędzej! odważnie. Tak, dobrze! Potem przeskakując z niezwykłą sobie ruchliwością od jednego przedmiotu do drugiego, zdjęty współczuciem dla tamtego siebie, zawołał – „Biedne dziecię!" – i wybuchnął płaczem. – Chciałbym – rzekł po chwili, otarłszy oczy i kładąc rękę do kieszeni – chciałbym – ale to już poniewczasie.

– Cóż takiego? – zapytał duch.

– Nic, nic! Przypomniałem sobie dziecko, które wczoraj wieczorem zaśpiewało pod moimi drzwiami: Ej, kolęda! kolęda! chciałbym mu coś dać! – Mój Boże! Duch uśmiechnął się łzawo, dał mu ręką znak milczenia i szepnął:

– Otóż inna wigilia Bożego Narodzenia.

W oka mgnieniu obraz się zmienił.

Scrooge ujrzał się młodzieńcem; sala szkolna była brudniejsza i bardziej zaniedbana: ramy okien potrzaskane, na podłodze leżały szczątki opadłego z sufitu wapna, po ścianach tu i ówdzie przebijały pokłady trzciny. – Tak, tak było w istocie. Poznał to wszystko najdokładniej, i znowu znalazł siebie w tym ponurym miejscu, gdy wszyscy inni pojechali spędzić wesołe święta w domu, wśród rodziny.

Teraz nie czytał – miotany rozpaczą, przechadzał się wzdłuż sali. Scrooge spojrzał na widmo, potem smutnie potrząsnął głową

i zwrócił ku drzwiom wzrok pełen obawy.

Drzwi się otwarły. Dziewczynka znacznie młodsza od chłopca, biegającego po sali, wpadła jak strzała, poskoczyła, zarzuciła mu ręce na szyję i ucałowała go kilkakrotnie, wołając: – Kochany, drogi braciszku! – Przybywam po ciebie, zabrać cię do domu! – klaszcząc w ręce i zanosząc się od śmiechu, powtarzała: – Do domu! do domu! do domu!

– Fanny! najdroższa Fanny! do domu? – szeptał głosem drżącym młodzieniec.

– Tak, bracie drogi, naprawdę do domu, naprawdę! Papa jest laki dobry w porównaniu z tym, co było, że dom nasz stał się rajem! Pewnego wieczora tak serdecznie ze mną rozmawiał, że ośmielona tym, zapytałam, czy nie mógłbyś przyjechać na święta; odpowiedział, że i owszem, że możesz, i posłał mię po ciebie. Jesteś już mężczyzną – dodała, patrząc mu w oczy – nigdy tu nie wrócisz!

A teraz spędzimy razem święta Bożego Narodzenia, najweselsze święta na świecie!

– Moja droga, moja kochana! moja opiekunko! – wołał rozrzewniony chłopiec.

Ona się śmiała i klaskała w dłonie, potem chciała go pocałować w głowę, ale nie mogła dostać tak wysoko, więc znowu się śmiała, wspięła się na palce i dokazała swego. Wreszcie pociągnęła go ku drzwiom. Szedł za nią.

W sieni dał się słyszeć surowy głos nauczyciela, głos przywykły widocznie do rozkazywania.

– Podajcie tu kuferek i rzeczy pana Scrooge'a. – Poczym wszedł pan profesor we własnej osobie: spojrzał na Scrooge'a wzrokiem przyjacielsko-groźnym i na znak pożegnania uścisnął mu rękę. Następnie wyprowadził młodą parę do drugiego pokoju, zimnego jak lodownia, do prawdziwej piwnicy, służącej za salon. Podano

butelkę bardzo lekkiego wina i kawałek ciężkiego ciasta; częstował tym swych gości, poczym szepnął służącej, tak, aby go słyszeli, żeby zaniosła kieliszek i pocztylionowi. Ten jednak odpowiedział, że jeżeli to jest to samo wino, którym go raz w tym domu częstowano, dziękuje serdecznie, ale woli szklankę wody, gdyż jest więcej pokrzepiająca. Tymczasem za powozem przymocowano kuferek pana Scrooge'a; dzieci pożegnały serdecznie nauczyciela, wskoczyły do powozu, który pomknął raźno po skrzypiącej drodze, znacząc swój ślad płatkami podskakującego śniegu, lekkiego jak morska piana. W powozie on całował ręce siostry i tysiączne składał jej dzięki.

– Była to delikatna i wątła istota, gięła się pod tchnieniem silniejszego wiatru, lecz miała wielkie i szlachetne serce – rzekł duch.

– Och! tak, anielskie serce – szepnął Scrooge – ja temu nie zaprzeczę, Broń, Boże!

– Umarła zamężna – dodał duch – zdaje mi się, że zostawiła dwoje dzieci?

– Jedno – odpowiedział Scrooge.

– Prawda, jednego syna, twego siostrzeńca.

Scrooge się zarumienił, odwrócił oczy, spuścił głowę. „Tak" – wybąknął półgłosem.

Zaledwie opuścili mury szkolne, w jednej chwili Scrooge i duch znaleźli się na ulicy ludnego miasta. Ruch tu panował prawdziwie świąteczny, ludzie spieszyli, biegli, wozy, bryczki powozy krzyżowały się po bruku, przyprószonym śniegiem, życie miejskie wrzało przyspieszonym tętnem. Wystawy w oknach sklepów świadczyły wymownie o niezwykłej uroczystości; łatwo było odgadnąć, że to wszystko przygotowane zostało na święta Bożego Narodzenia. Stosy strucli, pierników, ciast, gruszek, jabłek, góry ryb,

strojne choinki. Pyszne rzeczy! Wieczór się zbliżał, łuna biła ze wszystkich okien, dym, nasycony zapachami kuchennymi, walił ze wszystkich kominów.

Widmo zatrzymało się u drzwi jakiegoś sklepu i zapytało Scrooge'a, czy poznaje to miejsce.

Chyba żartujesz ze mnie? Jakżebym nie poznał? Wszakże w tym sklepie byłem chłopcem, a następnie subiektem. Weszli. Na widok wysokiego jegomości w peruce, siedzącego przy kantorku na wysokim krześle, jak na koniu, Scrooge, niezmiernie wzruszony, zaczął się oglądać, zbladł, zaczerwienił się, wreszcie zawołał:

– Ależ to stary Fezziwig, nasz pryncypał, niech go Bóg błogosławi; chyba oszalałem: Fezziwig zmartwychwstał?!

– Uspokój się – rzekł duch.

Fezziwig położył pióro, spojrzał na zegar, wyjął z kieszeni zegarek, niewiele mniejszy od tego, który wisiał na ścianie, zatarł ręce, poprawił perukę, obciągnął kamizelkę, która podniosła się prawie pod szyję, i roześmiał się, jak on tylko śmiać się umiał: śmiało się wszystko, z czego on się składał, co miał na sobie, zacząwszy od butów aż do peruki. Kiedy śmiać się, to całym sercem, całą duszą, całym ciałem! Wreszcie zawołał głosem potężnym, grzmiącym, ale pełnym śmiechu, niby wybuch radości:

– Hola, hej, Dick! Ebenezer!

Scrooge (ale nie ten Scrooge, który był z duchem, tylko tamten drugi – rozumiecie?) Scrooge, już nie uczeń, lecz dorosły młodzian, wpadł do pokoju z drugim młodzieńcem.

– To Dick Wilkins – zawołał ten prawdziwy Scrooge, trącając ducha w ramię. – Z pewnością Dick Wilkins. Razem ze mną był tu subiektem. Dalibóg, poznałem go od razu. Dick! poczciwy Dick, bardzo do mnie był przywiązany, przyjaźniliśmy się szczerze.

– No, dalej dzieci – zawołał Fezziwig. – Dość na dzisiaj roboty. Wigilia Bożego Narodzenia! Wielkie święto – Boże Narodzenie! Ebenezerze. Boże Narodzenie – Dick! Prędko wynosić okiennice, zamykać sklep – wolał, zacierając ręce. – Cóż to, jeszcze tu stoicie, jak słupy! Jeszcze sklep nie zamknięty? Marsz!

Trudno sobie wyobrazić, z jakim pośpiechem rzucili się do drzwi. Z ogromnymi okiennicami wypadli, jak szaleńcy, na ulicę – raz, dwa, trzy – już wstawione; cztery, pięć, sześć – zasuwy i kłódki założone; siedem, osiem, dziewięć – wszystko zamknięte. Nim byście doliczyli do dwunastu, oni już byli z powrotem, zmachani, jak konie wyścigowe.

– A teraz, moje chłopcy – rzekł Fezziwig – uprzątnijmy wszystko, powstawiajmy w kąty niepotrzebne rzeczy, żebyśmy mieli jak najwięcej miejsca. No! galop! Dobrze tak; ach, ty niezdaro, tę skrzynię pod biurko – Ebenezerze, co ty robisz? – tę pakę jedną na drugą, no, zrozumiałeś wreszcie?

Uprzątnąć? – oni by cały dom roztrzęśli i przenieśli gdzie indziej w mgnieniu oka. W minutę wszystko już było skończone. Wszystko, co tylko można było ruszyć z miejsca, popakowali gdzieś w kąty, jak gdyby ludzkie oko nigdy dojrzeć tego nie miało. Podłogę skropiono i wymieciono, lampy poprawiono, na komin wsypano furę węgla, sklep zmienił się w jednej chwili w wielką salę balową, wygodną, jaśniejącą – może tylko, jak na salę balową, cokolwiek zanadto ogrzaną. Ale to nic nie szkodzi.

Zaczęły się niespodzianki. Przyszedł najpierw, niby to sam z siebie, skrzypek, z ogromną księgą nut pod pachą. Zasiadł na wysokim krześle pryncypała i zaczął stroić skrzypce, kręcić, piszczeć, próbować, aż w mózgu świdrowało. Potem weszła pani Fezziwig, za nią trzy panny Fezziwig, białe, pulchne, skromne, jaśniejące uprzejmością i weselem.

Za niemi wsunęło się sześciu kawalerów: wystrojeni, wypomadowani, chłopcy jak świece (prawdę mówiąc, pomiędzy nimi było dwóch czeladników mydlarskich), potem chłopcy i dziewczęta z całego domu, przyjaciele, znajomi – młody chłopczyna z sąsiedniego sklepu, sierota, o którego pryncypale szeptano, że uczniów głodem morzy. Zgroza! I tak wchodzili jedni za drugimi; ci śmiało, tamci lękliwie, ci z szelestem, tamci niezręcznie, popychając się, kryjąc za sobą, jak to bywa wszędzie i zawsze. Dość, że weszli i pomieścili się wszyscy. Potem nastąpiły dygi, ukłony, zaproszenia do tańca i inne bardzo ważne ceremonie. Wreszcie stanęli w parach – ze dwadzieścia par chyba, alboż to można zliczyć, kiedy kręcą się na wszystkie strony – może i więcej... Tańce! Hasali na zabój, jak wariaci; gospodarstwo ani na chwilę nie usiedli, chodzili od jednych do drugich, kłaniali się, głaskali, całowali gości, dzieci; stary Fezziwig wyciągał z kątów nieśmiałych, wołając: „Naprzód, bardzo dobrze, jak we własnym domu! sługa państwa dobrodziejstwa! Wiwat! Boże Narodzenie!".

Kiedy skrzypek się zmęczył, odłożył instrument i schylił głowę w ogromny dzban piwa, przygotowany wyłącznie dla niego. Pił długo, rozkoszował się napojem, ale kiedy się wyprostował, pochwycił za skrzypce i zaczął grać na nowo, gardząc odpoczynkiem, jak gdyby tamtego skrzypka znużonego odprowadzono do domu, a natomiast zjawił się inny, świeży, wypoczęty, gotów grać do upadłego.

Tańczono więc znowu, bawiono się w gry – znowu tańce, potem pauza – wielka pauza! Podano ciasta, ogromne kawały pieczeni, wyborne salcesony, pasztety z siekanki, zdroje piwa. Wszystkiego było dosyć, aż do zbytku, jak przystało na uczciwy dom obywatelski. Lecz gdy skrzypek urżnął *Drabanta*, nadeszła uroczysta chwila! Stary Fezziwig podał rękę swej małżonce i stanął na czele

ogromnego węża. To mi, panie, robota! prowadzić dwadzieścia kilka par młodych, rozbrykanych ludzi, którzy chcą tańczyć, a nie wlec się noga za nogą. Lecz chociażby ich było dwa, trzy razy więcej, państwo Fezziwig daliby sobie radę. Fezziwig podskakiwał, komenderował, podrygał, kręcił się tak fertycznie, takie dziwne wyrabiał gęsta, że zawstydził niejednego z młodych.

Uderzenie jedenastej położyło koniec tej zabawie. Pan i pani Fezziwig stanęli u drzwi salonu, przyjaźnie podając rękę każdemu z gości, który się oddalał, wszystkim życząc świąt wesołych. Gdy pozostali sami w kole domowników, powtórzyli im życzenia, rozdali kolędy, pożegnali serdecznie. Ucichły radosne głosy, a subiekci udali się na zasłużony spoczynek.

Przez cały ten czas Scrooge, ten prawdziwy Scrooge, kręcił się, jak gdyby już postradał zmysły. Duszą i sercem brał udział w zabawie, do której on drugi tak czynnie należał. Poznawał wszystko, wszystko sobie przypominał, wszystkim się cieszył, doznawał najrozkoszniej szych wrażeń. Dopiero kiedy znikły rozpromienione oblicza subiektów, przypomniał sobie o obecności ducha, spostrzegł, że tamten patrzy na niego badawczo, a promień światła ponad głową widma coraz żywszą rozlewa jasność.

– Jakże mało potrzeba – rzekł duch – aby w tych głupich ludziskach najżywszą wzbudzić wdzięczność...

– Mało?! – powtórzył Scrooge.

Duch skinął, aby zamilkł, i kazał mu posłuchać rozmowy subiektów, wynurzających swoje uwielbienie dla zacnego pryncypała.

– I cóż on zrobił tak wielkiego? – odezwał się duch po chwili. – Wydał kilkadziesiąt złotych z waszych śmiertelnych pieniędzy, może i mniej. Czyż warto go za to tak wychwalać i wielbić?

– Co też ty mówisz, duchu! – zawołał Scrooge w uniesieniu, zapomniawszy, że jest sobą, zmieniony pod wpływem wrażeń w tamtego drugiego siebie. – Nie o to wcale chodzi, ile Fezziwig wydał, ale jakim jest dla nas. On może nas uczynić szczęśliwymi, osłodzić nasze obowiązki, lub je utrudnić, zrobić nieznośnymi; w jego mocy uczynić nasze życie przykrym albo względnie przyjemnym. Czy zrobi to spojrzeniem, słowem, czynem, jakąkolwiek drobnostką, tak nic nieznaczącą na pozór, że się ocenić nie da – wszystko jedno.

Szczęście i radość, jakie nam sprawia, taką np. małą przyjemnością, jak dzisiejsza zabawa, jest tak wielkie, lak ważne, jak gdyby kosztowało nieobliczone sumy.

Tak rozumując, Scrooge podniósł głowę i ujrzał przenikliwy wzrok widma, zwrócony na siebie; zatrzymał się.

– Co ci jest? – spytało widmo.

– Nic takiego – rzekł Scrooge.

– A jednakże wydajesz mi się pomieszany; no, śmiało powiedz!

– Nic, nic... tylko!... widzisz... mówił Scrooge – pragnąłbym z całej duszy powiedzieć parę słów memu buchalterowi.

Tamten Scrooge zgasił ostatnią lampkę w sklepie, a prawdziwy Scrooge i duch znaleźli się nagle na świeżym i chłodnym powietrzu.

– Czas upływa, moja godzina już bliska – Chodźmy rzekł duch – dalej!

Wyrazy te nie były zwrócone do Scrooge'a, a jednak miały skutek nieomylny. Scrooge ujrzał się znowu. Był nieco starszym, w sile wieku. Twarz jego nie miała jeszcze ostrych i surowych rysów, lecz malowały się już na niej cechy niepokoju i chciwości. Wzrok uderzał gorączkową ruchliwością, znamionującą walkę złych i dobrych skłonności; złe brało górę – można było przewidzieć, w którą stronę przechyli się zwycięstwo.

Przy nim stała młoda dziewczyna w żałobie. Przy świetle, wytryskającym z głowy ducha, widać było łzy w pięknych jej oczach.

– Kto inny – mówiła – zajął moje miejsce w twym sercu.

– Któż taki? – pytał tamten Scrooge niecierpliwie.

– Złoty cielec.

– To jest sprawiedliwość ludzka! Świat brzydzi się ubóstwem i gardzi nim, a skoro ktoś rozsądny i przezorny dąży do tego, aby się z niego otrząsnąć, aby zdobyć majątek, zaraz go zasypują wyrzutami, i sądzą z niepojętą surowością.

– Widziałam, jak pod wpływem obawy ubóstwa gasły najszlachetniejsze twe uczucia. Chciwość, żądza złota, wszystko pochłonęły. Czy możesz temu zaprzeczyć? – Stałem się rozsądniejszy i nic więcej. Względem ciebie nie zmieniłem się w niczym.

Wstrząsnęła głową na znak powątpiewania. „Bodajby nowo obrana droga przyniosła ci szczęście i spokój. Nie mamy względem siebie żadnych obowiązków. Zwalniam cię z danego słowa". Usiłował się usprawiedliwiać, lecz szło mu tak niezręcznie, iż widać było radość, jakiej doznał z powodu tego zerwania.

Odeszła.

– Duchu! – jęknął Scrooge – nie pokazuj mi już nic więcej. Odprowadź mnie do domu. Przestań pastwić się nade mną!

– Jeszcze jedno widzenie – odpowiedział duch nieubłagany.

– Nie, nie, już nic więcej, nie chcę już nic widzieć! Nic mi już nie pokazuj.

Lecz widmo ścisnęło go tylko za rękę i zmusiło do wpatrywania się w dalsze obrazy.

Przeniesieni zostali nagle w inne miejsce, aby ujrzeć przed sobą inną scenę. Był pokój, ani zbyt wielki, ani ciasny, przyjemny i wygodny. Przy ogniu, płonącym jasno na kominka, siedziała

młoda dziewczyna, tak podobna do tej, którą pożegnał przed chwilą, że wziął ją za poprzednią; lecz wpatrzywszy się, poznał, że tamta, już matka rodziny, siedziała naprzeciw córki. W pokoju był ogłuszający, niemożliwy hałas, tak pełno było dzieci. Scrooge nie mógł ich zliczyć, zdawało mu się, że jest ich ze czterdzieścioro; ale prawdopodobnie każde dziecko hałasowało za czterdzieści. Skutkiem tego była wrzawa nie do opisania, która jednak nie dokuczała nikomu, przeciwnie, matka i córka śmiały się z całego serca i najwidoczniej bawiły wybornie. Córka nagle wmieszała się w krzykliwe grono. Dopiero się rzucili na nią swawolnicy! Szarpali i targali, ciągnęli w różne strony, jak rabusie, a ona się tylko śmiała, opędzała, matka klaskała w ręce.

Ktoś zapukał do drzwi. Natychmiast podwoił się hałas, cała gromada rzuciła się ku drzwiom, niosąc ze sobą dziewczę, które ze śmiechu nie mogło się bronić i stanęło naprzeciw ojca, obładowanego kolędami. Można sobie wyobrazić krzyki, bitwy, napaści na bezbronnego przybysza. Jeden malec porywa krzesło i, jak po drabinie, włazi mu na kark; inny przetrząsa kieszenie i wyciąga paczki, poowijane w bibułę; tamten ściąga mu krawat i wiesza się na szyi. Co za radość! Co za krzyk, co za zdumienie przy otwarciu każdego pakunku! Jednego malca schwytano, gdy pakował do ust blaszaną patelnię! naturalnie, że na niego padło podejrzenie, iż tak samo połknął cukrowego indyka razem z drewnianym półmiskiem. Na koniec godzina spoczynku nadeszła, dzieci jedno po drugim wychodzą z pokoju i usypiają z zabawkami w ręku, z projektami zabaw na jutro! Spokojność powróciła.

– Mario – rzekł mąż z uśmiechem, zwracając się do żony – widziałem dziś jednego z twoich dawnych znajomych.

– Kogóż?

– Zgadnij!

– Jakże chcesz, żebym zgadła?... Czy czasem nie pana Scrooge? – zagadnęła.

– Właśnie jego. Przechodziłem koło kantoru, a ponieważ okiennice nie były zamknięte, i paliła się lampa, spojrzałem mimowolnie. Mówiono mi, że wspólnik jego, Marley, dogorywa. Scrooge siedział samotny. Sam jeden na świecie!!

– Duchu! duchu! odprowadź mnie stąd!... – wołał Scrooge, załamując ręce.

– Zapowiedziałem ci – odrzekło widmo – że ukażę ci cienie przeszłości... nie miej do mnie, żalu, jeżeli są takie, nie inne.

– Odprowadź mnie! – wołał Scrooge – nie zniosę więcej podobnych widoków.

Zwrócił się do ducha i ze zdziwieniem spostrzegł w jego twarzy rysy wszystkich tych osób, które mu ukazywał. Więc rzucił się na niego.

– Dajże mi już pokój, puść mnie, odprowadź do domu! – przestań dręczyć! – wołał rozpaczliwie, usiłując wyrwać się z rąk jego.

W tej walce, jeżeli to walką nazwać można, ponieważ duch, nie czyniąc żadnego oporu, nie dał się przecież zachwiać żadnym wysiłkiem przeciwnika, Scrooge spostrzegł, że światło, tryskające z głowy widma, połyskiwało coraz silniej i prawie oślepiająco. Schwycił więc za gasilnik i ruchem niespodziewanym wtłoczył mu go na głowę.

Duch zniknął pod tym dziwacznym kapeluszem, lecz choć Scrooge przyciskał go ze wszystkich sił, nie mógł zdusić zupełnie blasku, wydobywającego się teraz spod spodu i oświetlającego całą podłogę.

Uczuł się w końcu tak okropnie zmordowanym, iż ogarnęła go senność niepohamowana. I nagle ujrzał się w swojej sypialni. Wtedy chciał raz jeszcze przycisnąć gasilnik, uderzył ręką z góry, lecz

wraz z tym ruchem sam upadł na łóżko, pogrążony w śnie głębokim.

Rozdział IV

Drugi z trzech duchów

Przebudziwszy się znowu, Scrooge usiadł na posianiu, ażeby zebrać myśli, ale nie potrzebował sobie długo przypominać, że zegar wkrótce zapewne uderzy pierwszą po północy. Czuł doskonale, że przyszedł do przytomności w tej chwili, w której miał poznać drugiego wysłańca Marleya. Przeczuwając, iż widmo lada chwila odsunie znów firankę jego łóżka, zebrał całą odwagę, i aby uprzedzić tę chwilę, sam odsłonił obie własnymi rękoma. Teraz padł na poduszkę, powiódł wzrokiem dookoła i chciał odważnie spotkać widok ducha, nie okazując ani wzruszenia, ani zdziwienia.

Lecz choć przygotowany był na wszystko, nie spodziewał się tego, żeby nic nie było; dlatego też, gdy zegar wybił pierwszą, a duch się nie ukazał, porwał go dreszcz gwałtowny, i nie wiedział, co z sobą począć. Na cóż się zdała odwaga, na co wszystkie przygotowania? Pięć minut, dziesięć, kwadrans – nic. Leżał sztywny na łóżku, gdzie zbiegały się, jak do punktu środkowego, rozstrzelone promyki czerwonego światła, które gdzieś zajaśniało, gdy zegar cyknął na uderzenie godziny. Światło to niepokoiło go więcej, niż ukazanie się dwunastu duchów; nie pojmował jego znaczenia, nie zgadywał, skąd pochodzi, lękał się, czy przypadkiem on sam się nie pali i nie zwęgla w nieznanym ogniu. W końcu wpadł na myśl, (my byśmy to byli od razu odgadli, nieprawdaż?) otóż, wpadł na myśl, że ognisko i źródło tajemniczego światła musi się znajdować w sąsiednim pokoju, gdyż patrząc na błyszczące smugi, widać było jak najwyraźniej, że wszystkie stamtąd płyną. Ta myśl

wyprowadziła go przecież z chaosu; podniósł się, wsunął na nogi pantofle i cichuteńko zmierzał do sąsiedniego pokoju. W chwili gdy brał za klamkę, dziwny głos jakiś zawołał go po imieniu i wejść mu tam rozkazał. Usłuchał.

Był w swoim własnym saloniku; bez najmniejszej wątpliwości – w swoim własnym – lecz salonik ten uległ nadzwyczajnej zmianie. Ściany i sufit przystrojone były wieńcami z zielonych liści, jak gdyby to był najpiękniejszy gaik. Na kominie palił się wspaniały ogień, aż komin trzeszczał z podziwienia, za czasów bowiem Marleya i Scrooge'a nie przywykł do podobnych zbytków. Na podłodze leżały góry indyków, gęsi, wszelkiego rodzaju zwierzyny, drobiu, prosiąt, wędlin, szynek; sążniste kiełbasy, salcesony, pasztety, plum-puddingi, ryby – ale jakie? – aż ślinka idzie do ust! – pieczone kasztany, orzechy, złociste jabłka, gruszki, ogromne torty migdałowe, wazy pełne ponczu, dymiące parą o rozkosznej woni, niezliczone przysmaki. Wszystko to stanowiło rodzaj wspaniałego tronu.

Na nim spoczywał olbrzym wesołej i ujmującej postaci. Trzymał zapaloną pochodnię, podobną kształtem do rogu obfitości, a teraz podniósł ją w górę nad głowę, by oświetlić oblicze Scrooge'a, zaglądającego nieśmiało przez szparę.

– Wejdź – zawołało widmo – wejdź! proszę. Nie lękaj się, mój przyjacielu.

Scrooge wszedł z obawą, stąpając na palcach, i skłonił się głęboko. Nie był to już szorstki, gburowaty sknera: poprzednie dwie wizyty zmieniły go bardzo, a choć spojrzenie widma było dobrotliwe, spuścił oczy z pokorą.

– Jestem duchem obecnej wigilii Bożego Narodzenia. Przypatrz mi się.

Scrooge podniósł oczy i spojrzał na gościa. Jakże ten niepodobny był do poprzedniego!

Obszerny płaszcz ciemno – zielony, oszyty białym futerkiem, zarzucony miał niedbale na ramiona, pierś męską, nagą, odsłoniętą na zmiany powietrza, nogi również nagie, na skroniach wieniec ze świeżej choiny, poprzetykanej soplami błyszczącego lodu. Długie i gęste włosy w bogatych pierścieniach spadały mu na ramiona; twarz szczera, oko jasne i wesołe – cała postać tchnęła spokojem i zadowoleniem. U pasa wisiał mu wprawdzie zardzewiały miecz starożytny, ale widocznym było, iż nie używał go nigdy.

– Nie widziałeś nikogo podobnego do mnie? – zapytał duch.

– Nigdy w życiu!

– Czyś nigdy nie podróżował z którym z moich starszych braci?

– Nie przypominam sobie. Zdaje mi się, że nie. A czy wielu masz braci, wielki duchu?

– Dotąd przeszło ich po ziemi tysiąc osiemset sześćdziesiąt – odpowiedziało widmo – a co rok przybywa mi nowy.

– Liczna rodzina, zauważył Scrooge – utrzymanie jej musi być bardzo kosztowne.

Widmo powstało.

– Duchu – rzekł Scrooge z pokorą – prowadź mnie, gdzie ci się podoba. Przeszłej nocy odbyłem już jedną wycieczkę i nie żałuję tego. Przyznaję, że nie żałuję. Wiele się nauczyłem, skorzystałem. Jeśli chcesz mię oświecić, jestem na twoje rozkazy.

– Dotknij mej sukni.

Scrooge uczepił się płaszcza. Światło, choiny, indyki, gęsi, zwierzyna, prosięta, szynki, pasztety, ostrygi, plum-puddingi, poncz, owoce – wszystko znikło w oka mgnieniu. Pokój, blask, noc znikły. Byli na ulicy miasta w poranek wigilijny; Scrooge słyszał zgrzyt łopatek, którymi stróże zeskrobywali zmarznięty śnieg z chodników.

Fronty domów i okna wyglądały ciemno, odbijając od jednostajnej, białej powłoki śniegu, okrywającego dachy, i mniej czystej pierzyny na powierzchni ziemi, porysowanej w bruzdy kołami ciężkich wozów i powozów. Bruzdy te, czyli koleje, krzyżowały się bezustannie, zwłaszcza na skrętach ulic; niebo było posępne. Niepodobna powiedzieć, że Londyn wyglądał pięknie: powietrze ciężkie, mgliste, przesycone węglem, utrudniało oddychanie, nigdzie promyka słonecznego światła, a jednakże na wszystkich twarzach jaśniała szczera radość, w oczach migały tak wesołe blaski, iż wątpię, czy najpiękniejszy dzień letni mógł się równać z tym szarym i zimnym porankiem.

Stróże, pracujący na ulicach lub zmiatający śnieg z dachów, byli w cudownym humorze: nawoływali się i przezywali pośród wybuchów śmiechu, rzucali jeden na drugiego śnieżne kule i pękali ze śmiechu, gdy niewinny pocisk spadł przypadkiem na głowę poważnie kroczącego policjanta.

Sklepy dopiero otwierano. W tym widać było ogromne kosze kasztanów, soczystych gruszek, jabłek, pomarańcz, cytryn, stosy winogron, śliwek, stamtąd płynął przyjemny zapach palonej kawy, naprzeciwko u cukiernika piętrzyły się ciasta, cukry, paszteciki; w innym fury zabawek, koni, arsenały nieszkodliwych mieczów, pałaszy, fuzji, nawet armat, i ślicznie przybrane choinki, sięgające wierzchołkiem okien pierwszego piętra. Cuda! Czary! Dziwy!

Wtem rozległ się głos dzwonów, zwołujących na modlitwę. Ze wszystkich domów wysypały się gromadki ludzi, w świątecznych strojach, dążąc poważnym krokiem do kościoła. – Inni nie mieli czasu myśleć o nabożeństwie: tyle pracy! Mój Boże! Kuchciki i służące, gospodynie, niemające dość obszernych kuchni, śpieszą do piekarzy z koszami ciasta, potraw i mięsiwa do upieczenia. Duch opiekuje się nimi, gorliwie biega od kosza

do kosza, zagląda, stanął na rogu, przy wejściu do piekarni, podnosi okrywające kosze płótna i zasłony, nad każdym potrząsa swą jasną pochodnią, niby kropidłem, i rozkoszuje się miłym zapachem świątecznym. Dziwna ta pochodnia – dwóch ludzi z ciężarami potrąciło się niechcący, więc zaczęli sobie wymyślać, duch poskoczył w tę stronę, poruszył nad ich głowami pochodnią, i obaj w jednej chwili podali sobie dłonie, wołając: „Czyż to nie wstyd kłócić się w wigilię Bożego Narodzenia? Mój Boże! w takie uroczyste święto?!".

Zwolna ucichły dzwony, sklepy pozamykano, tylko z kominów bucha woń przyjemna dopiekających się potraw.

– Powiedz mi, dobry duchu – zapytał Scrooge – co za szczególną własność mają krople, spadające z twojej pochodni?

– Ich własnością: spokój, zgoda, zadowolenie; to moje błogosławieństwo!

– I udzielasz go wszystkim?

– Najwięcej ubogim, bo ci go najbardziej potrzebują.

Znajdowali się właśnie na przedmieściu Londynu.

Scrooge zauważył także, iż olbrzymi duch z wielką łatwością mógł się pomieścić w najmniejszym kąciku. Wszędzie mu było dobrze, mimo wyniosłej postawy; wszędzie, zarówno pod ubogą strzechą, jak pod sklepieniem pałacu, zachowywał nadprzyrodzoną godność i wspaniałość.

Umyślnie, czy przypadkiem, duch zaprowadził Scrooge'a wprost do mieszkania jego buchaltera. Na progu się zatrzymał, skropił drzwi pochodnią, uśmiechnął się i pobłogosławił mieszkańców i mieszkanie Boba Cratchita. Tak się nazywał buchalter Scrooge'a.

sunęli się niewidzialni. Pani Cratchit, ubrana w nicowaną suknię, przystrojoną niezbyt świeżymi wstążkami, nakrywała do stołu przy pomocy młodszej córki, panny Belindy Cratchit, podobnie jak

matka wystrojonej; najstarszy syn, Piotr Cratchit, próbował widelcem, czy kartofle już dogotowane, i z powagą poprawiał wysokie rogi kołnierzyka, którego mu ojciec na dzisiejszą uroczystość pożyczył. Dwoje innych Cratchitów, chłopczyk i dziewczynka, hałaśliwie wpadli do pokoju, krzycząc, iż poczuli koło piekarza przepyszny zapach gęsi, którą mama zaniosła tam do upieczenia. Szaleli z radości na myśl o wybornych jabłkach i wyskakiwali koło stołu, chwaląc kucharski talent pana Piotra, który z nadętą miną dmuchał, poprawiał ogień, i podsuwał garnek, dopóki bełkotanie pod pokrywką nie zaświadczyło wymownie, że kartofle wybornie już ugotowane i można je odstawić na bok.

– Co się to znaczy, że się dziś wszyscy spóźniają? – odezwała się pani Cratchit – i ojciec z Tomaszkiem i Marta. Przeszłej wigilii o tej porze była w domu od pół godziny.

– Jest Marta, mateczko! – zawołała młoda panienka, wchodząc w tej chwili do pokoju.

– Jest Marta! – powtórzyli chórem malcy. – Wiwat! żebyś wiedziała, co za gęś! Wiwat! Boże Narodzenie!

– Niech cię Bóg błogosławi, moje dziecko! Cóż tak późno? – pytała pani Cratchit z macierzyńską troskliwością, zdejmując z niej kapelusz i okrycie i całując zaczerwienione od mrozu policzki.

– Dużo było roboty, mateczko, musieliśmy ją skończyć, każdy chce mieć na święta nową suknię.

– Dobrze, dobrze, już jesteś, siadaj że przy ogniu, rozgrzej się, kochanie.

– Ojciec idzie – wykrzyknęli znowu malcy, którzy wszędzie byli i wszystko widzieli. – Schowaj się, Marto, schowaj!

Marta się schowała.

Wszedł Bob Cratchit, (buchalter, którego poznaliśmy już w kantorze), wszedł w ogromnym szaliku wełnianym na szyi –

gdzie tam na szyi – na brzuchu, wisiał mu aż do kolan! Wytarte suknie starannie miał oczyszczone, tak, iż mimo zniszczenia wyglądały dosyć porządnie; na ręku niósł Tomaszka. Biedny Tomaszek kulał i chodząc, opierać się musiał na kuli.

– A gdzież Marta? gdzie Marta? – zapytał Bob, rozglądając się niespokojnie po pokoju.

– Jeszcze jej nie ma! – odpowiedziała pani Cratchit.

– Jak to, jeszcze nie przyszła? – zawołał, tracąc wesołość. – Nie ma jej? nie przyszła dotąd w wigilię Bożego Narodzenia?

Marta nie mogła dręczyć ojca dłużej, i wybiegając z kryjówki, rzuciła mu się na szyję, a mali Cratchitowie porwali Tomaszka i zanieśli go zaraz do kuchni, aby mógł z bliska usłyszeć piękny śpiew plum-puddingu, wydobywający się z rondla.

– Jakże się Tomaszek zachował w kościele? – spytała pani Cratchit.

– Jak anioł! złote dziecko! Jakiż on roztropny! Niewątpliwie kalectwo przyczynia się do tego. Pozbawiony rozrywek, właściwych dzieciom w jego wieku, zaczyna wcześniej myśleć. A jakie myśli przychodzą mu do główki! Wracając z kościoła, mówił mi, że ludzie patrzą na niego ze współczuciem i zapewne myślą o cudach i łaskach Narodzonego dzisiaj, który przywracał słuch głuchym, wzrok ociemniałym, a chromym i kalekom zdrowie.

Głos Boba drżał, gdy to mówił, a więcej jeszcze, gdy dodał, iż zdaje mu się, że dziecko coraz lepiej wygląda, dzięki Bogu.

Wtem dało się słyszeć tupotanie kuli: wszedł Tomaszek w towarzystwie brata i siostry i zasiadł na wysokim krzesełku przy ogniu. Bob zakasał rękawy, jak gdyby się mogły jeszcze bardziej zniszczyć, wziął imbiru, cytrynę, wcisnął ją w wazę gorącej wody, mieszał w jedną i w drugą stronę i przyrządził na koniec dziwny napój, który cała rodzina nazywała grogiem. – Niech i tak będzie. –

Tymczasem mała dwójka pobiegła po gęś do piekarza i wniosła ją w tryumfie.

Gdybyście widzieli radość, jaką wywołał jej widok, sądzilibyście pewnie, że gęś w Anglii jest najosobliwszym zjawiskiem, wobec którego o białym kruku nawet wspominać nie warto. Rzeczywiście w tym domu gęś była jednym z siedmiu cudów świata. Pani Cratchit odgrzała sos, przygotowany od dawna w ryneczce, pan Piotr z herkulesowym zamachem tarł na miazgę kartofle, panna Belinda wsypała do wazy mączki cukrowej. Marta wycierała talerze, Bob przysunął do siebie Tomaszka, a malcy przystawiali krzesła do stołu dla wszystkich, nie zapominając o sobie, i zająwszy swe stanowiska, powkładali w usta puste łyżki, aby nie ulec pokusie i w dzień tak uroczysty nie zhańbić się lizaniem sosu. Wreszcie podano potrawy, zmówiono modlitwę, pani Cratchit starannie obejrzała nóż, spróbowała go na paznokciu i otworzyła gęś mistrzowskim cięciem. Fontanna jabłek i gruszek wytrysnęła w obłokach pary, przy ogólnym okrzyku: „wiwat!".

Była to zresztą gęś niepospolita, zupełnie wyjątkowa. Bob dawał słowo, że nie przypomina sobie nic podobnego. Co też mówili u piekarza, kiedy ją zobaczyli? Jej kruchość, zapach, taniość i inne zalety były przedmiotem powszechnej rozmowy i uwielbień; z kartoflami i sosem wystarczyć mogła dla dwóch rodzin. – To prawda – rzekła pani Cratchit, spostrzegłszy u kogoś na talerzu kawałek nieogryzionej kosteczki. – Niepodobna było zjeść całej. – Panna Belinda odmieniła talerze, a pani Cratchit oddaliła się na chwilę, aby bez świadków otworzyć rondel z budyniem i wyjąć go na półmisek. Było to dla niej nie lada wzruszenie. A nuż się nie uda – rozleci się przy wyjmowaniu? A może złodziej zakradł się kominem i porwał drogocenny przysmak? Na tym świecie

wszystkiego spodziewać się można. To byłoby okropne! Nie, nie, to tylko żarty.

Budyń udał się wspaniale. Gęsta para aż bucha, co za woń rozkoszna rozparzonej bielizny! (budyń owinięty był w serwetę). Jaka mieszanina zapachów, przypominających jednocześnie pasztet i sąsiednią pralnię. To, budyń! Pani Cratchit wniosła go z twarzą rozpromienioną, skromnie spuszczając oczy: niezrównany, podobny do kuli armatniej, twardy, jędrny, pływający w jeziorze ognistej okowity, z zatkniętą zieloną gałązką choiny na pamiątkę Bożego Narodzenia.

Cudowny budyń! Bob Cratchit oznajmił uroczyście, że od dnia ślubu podobne arcydzieło nie wyszło z rąk jego małżonki.

Ukończono wieczerzę, zdjęto obrus, podsycono ogień na kominku. Grog, przygotowany przez Boba, był wyborny. Na stole zastawiono jabłka, dwie pomarańcze, a w popiół wrzucono garść kasztanów. Cała rodzina obsiadła kominek w półkole, przed Bobem ustawiono wszystkie kryształy rodzinne, mianowicie dwie szklanki rznięte i rzeźbiony kubek od wód mineralnych. Cóż to szkodzi? Grog smakował tak samo, jak w srebrnych pucharach; kasztany trzeszczały w ogniu. Bob powstał, podniósł w górę napełniony kubek i zawołał:

– Wesołych świąt, moje dzieci! Daj nam, Boże, zdrowo i szczęśliwie doczekać przyszłej wigilii!

– Daj, Boże! – odpowiedzieli wszyscy chórem.

– Daj nam, Boże, wszystkim! – dokończył Tomaszek.

Siedział na wysokim krzesełku przy ojcu. Bob trzymał go za małą, wychudłą rączynę, jakby mu chciał okazać szczególne współczucie. Gdy się mały odezwał, ojcu stanęły łzy w oczach; przycisnął go do siebie i obejrzał się trwożnie, gotów bronić dziecinę przed niewidzialnym wrogiem, gdyby mu ją chciał porwać.

– Duchu! – rzekł Scrooge z niezwykłym wzruszeniem, które zdradzał głos drżący – czy Tomaszek żyć będzie?

– Widzę opuszczone miejsce przy kominku – rzekł duch – widzę w przyszłości, jak Bob ściska i okrywa pocałunkami kulę, a nie widzę jej właściciela. Jeśli mój następca nie zmieni nic w obrazach, które mi się ukazują, dziecię umrze.

– Nie, nie, ja proszę! – mówił Scrooge. – Błagam, ocal go!

– Po co? Cóż za szkoda? Zmniejszy przez to zbyteczną ludność, oddali chwilę przeludnienia!

Scrooge spuścił głowę, usłyszawszy własne wyrazy, które wyrzekł do dwóch nieznajomych, zbierających składkę dla biednych. Był przejęty wstydem i żalem – zgnębiony.

– Osądź sam siebie, człowieku bez serca – odezwał się duch z mocą. – Osądź swoje bluźnierstwa. Ty chcesz wyrokować, kto ma żyć, kto umierać? Ty? A może w oczach Boga mniej godnym jesteś życia, niż najsłabsza istota, niż ten kaleka nieszczęsny! O Boże, nędzny robak śmie dyktować prawa życia i śmierci dzieciom twoim, własnym braciom!

Scrooge upokorzony i wzruszony, zalał się łzami i drżał, jak liść osiny. Nagle usłyszał wymówione swoje nazwisko.

– Zdrowie pana Scrooge – rzekł Bob, podnosząc szklankę. – Słyszycie? Zdrowie mego pryncypała, któremu zawdzięczamy byt i odpoczynek i tę wspaniałą ucztę.

– Zacny pryncypał, bardzo zacny! rzeczywiście! – wykrzyknęła pani Cratchit, zaczerwieniona z gniewu. – Chciałabym, żeby tu przyszedł, dałabym ja mu byt i odpoczynek! Nie wiem, czyby tak prędko strawił ucztę, jaką bym mu wyprawiła!

– Moja kochana – rzekł Bob – dzieci!... wigilia Bożego Narodzenia!

– I w wigilię Bożego Narodzenia wstyd pić zdrowie takiego skąpca, sknery, tyrana, kamienia! Ty wiesz o tym najlepiej, biedny

mój Robercie, ty wiesz, jak się pastwi nad tobą, jak ci krew z żył wysysa!

– Moje życie! – rzekł Bob łagodnie – moje życie! wszak to Boże Narodzenie!

– Dla ciebie mogę wypić i za jego zdrowie, przez wzgląd na dzisiejszą uroczystość. Życzę mu świąt wesołych, szczęśliwego roku. Lecz czy sprawiedliwa Opatrzność wysłucha moich życzeń, bardzo wątpię.

Dzieci za przykładem rodziców spełniły to zdrowie posłusznie, lecz w milczeniu, z niechęcią. Scrooge był postrachem całej tej rodziny, a nazwisko jego, jak gromowa chmura, zawisło przez kilka minut nad tym poczciwym gronem. Wszystkie twarze sposępniały. Ale po chwili wróciła wesołość. Bob oznajmił, że ma dla Piotra niezłe miejsce, które może mu przynieść ze dwanaście złotych tygodniowo. Malcy śmieli się, usłyszawszy, że Piotr będzie zarabiał, tak jak ojciec. Piotr zamyślił się głęboko, zmarszczył czoło, wysunął naprzód rogi kołnierzyka i układał plany, co zrobi z pieniędzmi, gdy zostanie posiadaczem kapitałów. Marta, biedna szwaczka, opowiadała z kolei, jakie robi roboty, ile godzin dziennie pracuje; cieszyła się, że jutro będzie mogła spać dłużej. Mówiła, że przed kilku dniami widziała hrabinę i młodego lorda, wzrostem i postawą przypominającego Piotrusia; Piotr zdumniał i wspaniale poprawił kołnierzyk. Sądził przez chwilę, że jest lordem. Wreszcie Tomaszek zanucił cienkim głosikiem balladę o zbłąkanym dziecięciu, zasypanym w śniegach.

Byli to ludzie prości, niezamożni, niewykwintni wcale w obejściu; nikt z rodziny nie był pięknym; ubrani skromnie, nawet biednie, gdyż suknie ich wytarte świeciły łatami, a jednakże byli szczęśliwi, wdzięczni Bogu i mili ludziom. Gdy Scrooge opuszczał izdebkę, wesołość ich wzrastała, w miarę jak duch skrapiał czarodziejską

pochodnią każdy kącik, każdą osobę. Długo stał nad Tomaszkiem, a odchodząc, spoglądał na dziecinę z miłością i politowaniem.

Noc była ciemna, śnieg padał płatami, ogień błyszczał we wszystkich oknach; Scrooge unosił się z duchem ponad ulicami miasta. Najrozmaitsze sceny przesuwały się przed jego wzrokiem: tu wahające światło mówiło o skromnych przygotowaniach do uczty rodzinnej, tam grono dzieci biegło na spotkanie powracających z miasta sióstr i braci krewnych, przyjaciół; gdzie indziej na roletach rysowały się sylwetki osób, siedzących już u stołu.

Sądząc po ruchu na ulicach, można byłoby przypuszczać, że w mieszkaniach nie pozostało nikogo, tymczasem widać było, iż prawie w każdym domu wyczekiwano gości. Duch był uradowany, potrząsał pochodnią, rozlewając wszędzie wesołość i szczęście. Nawet człowiek zapalający latarnie, którego bieg znaczyły nagłe wytryski światła na ciemnych ulicach, zaczął się śmiać serdecznie, gdy mijał tego pocieszyciela ludzkości.

Sam pewnie nie rozumiał przyczyny tej nagłej wesołości. Skądże mógł przypuścić, że przypadkiem dotknął ducha Wigilii Bożego Narodzenia?

Wtem niespodzianie przestraszony Scrooge znalazł się wśród smutnego, pustego obszaru, zarzuconego złomami granitu. Czy to cmentarz olbrzymów? Mróz tamował bieg wody po kamieniach; mech i karłowate rośliny stanowiły jedyną ozdobę tej samotni.

– Gdzież jesteśmy? – zapytał Scrooge.

– Tam, gdzie żyją górnicy, którzy pracują we wnętrznościach ziemi. I ci mnie znają. Spojrzyj! Światło zabłysło w okienku lepianki – pospieszyli w tę stronę. Przeniknęli przez ścianę i ujrzeli w chatce wesołe towarzystwo. Jakiś starzec, staruszka, ich dzieci, wnuki, sąsiedzi, wszyscy przybrani świątecznie, siedzieli dokoła stołu.

Starzec drżącym głosem zanucił kolędę, zgromadzeni powtarzali chórem każdą zwrotkę. Duch błogosławił wszystkim.

Niedługo tu zabawił, kazał bankierowi trzymać się swojego płaszcza i poniósł go – gdzie? zgadnijcie! Poniósł ponad morze. Scrooge tak był zajęty trzymaniem się płaszcza, że z początku nie spostrzegł zmiany; nagle zrobiło mu się jednak bardzo zimno, obejrzał się i ze zgrozą, z przerażeniem ujrzał niknący ostatni kres ziemi i nagie skały wybrzeża. Odurzony rykiem bałwanów, rozbijających się z łoskotem nad otchłanią, stracił prawie przytomność, nie śmiał patrzeć na potężny żywioł, który w szale wściekłości zdawał się chcieć obalić i zburzyć ląd stały.

Na samotnej skale, sterczącej spośród olbrzymich bałwanów, wznosiła się latarnia morska. U stóp jej pięły się zwoje nieznanych roślin, u szczytu gnieździły się ptaki drapieżne, dzieci wiatru i burzy.

W tym okropnym na pozór miejscu siedzieli dwaj strażnicy u prostego stołu, ściskając sobie wzajem twarde dłonie i, popijając grog, powtarzali z uśmiechem życzenia szczęśliwego roku. Starszy, o poważnej i surowej twarzy, pociemniałej wśród burz i wichrów, wyglądał, jak miedziany poszczerbiony posąg, a gdy chropawym głosem zanucił pieśń dziką, można ją było wziąć za wycie wiatru. Duch błogosławił ich i płynął dalej ponad przestwory wzburzonego oceanu, aż w szybkim biegu spuścili się wreszcie na pokład statku, miotanego burzą. Duch ze Scrooge'em obiegał tu wszystkie zakątki: był u steru, u dzioba, w kajucie oficerów, majtków, na szczycie masztu, gdzie czuwały straże; każdego błogosławił, nad każdym potrząsał pochodnią, a każdy nucił natychmiast kolędę, wszyscy życzyli sobie świąt wesołych, mówili i myśleli o Bożym Narodzeniu, przypominali ubiegłe wigilie, spędzone w rodzinnym kółku, wyrażając pragnienie szczęśliwego powrotu do domu. Wszyscy, źli i dobrzy, weseli lub smutni, zamieniali z sobą

przychylne wyrazy, zapominali waśni, wymieniali imiona nieobecnych przyjaciół, krewnych, spodziewając się, że tam, na lądzie, tak samo o nich myślą, wspominają.

Scrooge wsłuchiwał się z uwagą w ich rozmowy, pomieszane z żałosnym wyciem wiatru, daremnie usiłując przebić wzrokiem ciemność, gdy nagle drgnął, posłyszawszy tuż za sobą znany śmiech, dźwięczny i głośny. Był to śmiech jego siostrzeńca! W tej chwili ujrzał się w ciepłym i czystym pokoju, jasno oświetlonym. Obejrzał się zdumiony; duch stał przy nim i uśmiechał się też dobrotliwie, patrząc na młodego człowieka.

– Ha! ha! ha! – śmiał się siostrzeniec – ha! ha! ha!

Jeśli kto z was zna człowieka weselszego, któryby umiał śmiać się lepiej i serdeczniej, niż siostrzeniec Scrooge'a, proszę mi go przedstawić, radbym go bardzo poznać. Myślę jednak, że nie ma takiego na świecie.

Podobno zaraźliwe są choroby i smutki, zapewniam was jednakże, iż wesołość i dobry humor udzielają się jeszcze łatwiej. Jest to największa łaska Opatrzności. Kto nie umie dzielić z bliźnimi wesela, ten ma truciznę w sercu. Boję się takiego człowieka – to zbrodniarz lub samolub.

Siostrzeniec Scrooge'a nie był jednym ani drugim, to leż śmiał się wesoło i trzymał za boki; śmiała się jego żona, młoda i przystojna, śmiały jej siostry i przyjaciele domu. Ha, ha! ha! – brzmiało ciągle. Cudowna muzyka!

– Daję wam na to słowo – mówił siostrzeniec Scrooge'a – powiedział mi wyraźnie: – Boże Narodzenie głupstwo! Czyście słyszeli coś podobnego w życiu? Hal ha! ha!

– Dla niego to niewesołe, Alfredzie – odezwała się młoda żona – należy go żałować, a nie wyśmiewać się z niego. I sama śmiać się zaczęła.

Stary dziwak! – mówił Alfred – mógłby przecie być przyjemniejszym. Jego wady dla niego są najcięższą karą, to też nie wyśmiewam się z niego, lecz z jego dziwactwa. Czyż podobna nie śmiać się z tego?

– Podobno jest bardzo bogaty, Alfredzie? tak mówiłeś mi kiedyś.

– A cóż mu z tego majątku, kiedy nie umie go użyć dla siebie, ani dla innych?

– Wiesz co, nie znam go, ale go nie cierpię! – Wszystkie kobiety potwierdziły to jednogłośnie.

– Ja nie mogę tego powiedzieć – rzekł Alfred. – Najpierw jest bratem mojej ukochanej matki; a przy tym komuż szkodzą jego gniewy i nienawiść całego rodzaju ludzkiego? Nie kocham go, to prawda, lecz serdecznie go żałuję, gdy pomyślę że np. w tej chwili jest sam jeden w pustym mieszkaniu, jakby nie mógł zjeść z nami skromnego, obiadku?! – Mnie się zdaje, że stracił bardzo dobry obiad – odezwała się młoda pani żartobliwie.

Wszyscy obecni przyznali jej słuszność. Alfred tylko pokręcił głową i oświadczył, że nie bardzo dowierza zdolnościom młodych gospodyń.

– Mniejsza o to – odpowiedziała – wkrótce się przekonasz, czy słusznie żałujesz tego sknerę.

– Żałuję go, bo stracił miły wieczór świąteczny i przyjemne nasze towarzystwo. Nikt nie zaprzeczy, że jest ono weselsze, niż jego myśli, z którymi pozostał w tym wilgotnym, ciemnym i brudnym kantorze. Wypchnął mię prawie za drzwi, a jednak powrócę tam za rok, aby znów mu złożyć te same życzenia. Niech sobie wyszydza zresztą ten kochany zwyczaj obchodu wigilii Bożego Narodzenia, pewien jestem, że przed śmiercią zmieni zdanie, i doczekam się jeszcze, że kiedy mu powiem: „Wujaszku – życzę ci wesołych świąt”, odpowie mi: „Nawzajem!” A chociażby mój upór doprowadził tylko

do tego, żeby był trochę lepszym dla swego buchaltera i podniósł mu nędzną zapłatę – byłbym bardzo zadowolony. Zdawało mi się wczoraj, że nie był tak twardy, jak zwykle.

Wszyscy na nowo wybuchnęli śmiechem z zarozumiałości siostrzeńca, lecz on nie pytał nawet, z czego się śmieją, i wtórował im całym sercem. Po herbacie zajęto się muzyką: damy śpiewały, młodzież grała na fortepianie i skrzypcach, gospodyni na harfie; potem zaśpiewała jakąś piosenkę – (bardzo łatwą), ulubioną piosenkę jego zmarłej siostry. Na dźwięk tej znanej, pełnej wspomnień melodii, cała przeszłość stanęła żywo oczach Scrooge'a, rozrzewniony pomyślał, że gdyby słyszał ją częściej, może nie zerwałby wszystkich rodzinnych związków.

Następnie bawiono się w gry, a gdy spełniali przeróżne wiwaty, siostrzeniec zawołał nagle:

– Panowie i panie: „Za pomyślność wujaszka Scrooge".

– Niech i tak będzie! – wykrzyknęli wszyscy – „zdrowie samotnika! zdrowie pana Scrooge!"

– Wesołych świąt i szczęśliwego roku! Nie przyjął ode mnie życzeń, a jednak mu je posyłamy. Zdrowie wujaszka Scrooge!

Scrooge był zachwycony. Czuł się odrodzonym, szczęśliwym. Byłby chętnie podziękował całemu towarzystwu i uścisnął siostrzeńca, gdyby mu duch pozwolił. Lecz właśnie, gdy siostrzeniec wzniósł ostatni toast – wszystko znikło.

Scrooge i duch wędrowali znów dalej.

Zwiedzili wiele miejsc, okolic, mieszkań i gmachów. Duch zatrzymywał się u łoża chorych, a ci zapominali o cierpieniu; odwiedzał wygnańców, a tym się zdawało, że są w ojczystej ziemi. Zrozpaczony godził się z losem, w przytułkach, szpitalach, więzieniach duch zostawiał błogosławieństwo i pociechę, dając samolubowi przykład miłości bliźniego.

Noc musiała być długa, jeżeli to wszystko spełniło się w jej ciągu, lecz Scrooge wątpił o tym, zdawało mu się, że mnóstwo wigilii Bożego Narodzenia złożyło się na tę jedną. W sobie nie czuł żadnej różnicy fizycznej, ale widmo starzało się widocznie. Scrooge nie śmiał o tym mówić, lecz gdy wychodzili z jakiegoś domostwa, spostrzegł, że włosy ducha posiwiały.

– Czyż życie duchów jest tak krótkie? – spytał nieśmiało.

– Bardzo krótkie. Moje życie kończy się tej nocy.

– Tej nocy?

– Tak, o północy. Słuchaj, godzina się zbliża.

Zegar wybił trzy kwadranse na jedenastą.

– Wybacz mojej ciekawości – rzekł nieśmiało Scrooge – lecz widzę, że coś wysuwa się spod twego płaszcza. Co to jest?

– Patrz!

Z fałdów szaty odsłonił dwoje dzieci wynędzniałych, zmizerowanych, odrażających nędzą i niechlujstwem. Dzieci uklękły u stóp ducha, trzymając się jego sukni.

– Patrz! – powtórzył duch, ukazując je skąpcowi.

Scrooge cofnął się na widok tego wcielonego nieszczęścia, chciał coś mówić, lecz słowa zamarły mu na ustach.

– Czyje to dzieci? – szepnął.

– Ludzi, bracia twoi. Jedno zwie się nędza, a drugie ciemnota. Na ich czole wyryte wasze potępienie, nieuczynni bogacze! Strzeżcie się! Oświecajcie, i wspierajcie braci, bo inaczej biada wam! biada!

– One potrzebują opieki, schronienia! – zawołał Scrooge, gotów do wszelkiej ofiary.

– Alboż to nie ma więzień, domów zarobkowych? – mówił duch z gorzką ironią, powtarzając wyrazy Scrooge'a.

Zegar uderzył północ.

Scrooge chciał coś powiedzieć, lecz ducha już nie było. Gdy ostatni dźwięk zegara rozpłynął się w powietrzu, obejrzał się wkoło i ujrzał zbliżającą się postać poważną, w ciemnej, powłóczystej szacie.

Rozdział V

Duch ostatni

Widmo zbliżało się zwolna, w milczeniu. Scrooge zgiął kolano, ponieważ duch ten wywierał na niego jakiś wpływ tajemniczy, groźny i przerażający, a zarazem pełen uroku. Długa ciemna szata okrywała go zupełnie, osłaniając nie tylko kształty, ale twarz i głowę, widać było jedynie wyciągniętą rękę na tle ponurej nocy.

Wysoka, czarna postać zbliżała się do Scrooge'a, jakby płynęła w powietrzu, i na koniec stanęła przed nim.

– Czy stoję wobec widma przyszłości? – drżącym głosem zapytał Scrooge.

Duch milczał i wskazywał ręką naprzód.

– Ty mi ukażesz rzeczy, które nie stały się jeszcze, nieprawdaż, duchu? – szeptał błagalnie Scrooge.

Milczenie, ręka wyciągnięta naprzód. Jakkolwiek przyzwyczajony już do towarzystwa istot nadprzyrodzonych, Scrooge uczuł, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa, zdawało mu się, że upadnie. Duch zatrzymał się, jakby czekał, aż bankier odzyska siły.

Górna część jego sukni pochyliła się naprzód, jak gdyby skinął głową. Była to cała odpowiedź!

Dreszcz lodowaty przebiegi Scrooge'a od stóp do głowy, gdy pomyślał, że pod tym grobowym całunem kryją się straszne oczy, nieruchomo w niego wpatrzone.

– Duchu przyszłości – zawołał z rozpaczą – lękam się ciebie bardziej, niż twoich poprzedników, ulituj się nade mną! Wiem, że przybyłeś dla mojego dobra, dla mego ocalenia, i pragnę cię

słuchać, chcę korzystać z twych nauk i odmienić się, przeistoczyć w innego człowieka, lecz dodaj mi odwagi, błagam cię, odpowiedz!

Milczenie. – Ręka wyciągnięta naprzód.

– Więc prowadź mię – jęknął Scrooge. – Noc szybko upływa, każda chwila jest droga. Prowadź mię, straszny duchu!

Duch postąpił naprzód. Scrooge szedł za nim w cieniu jego sukni, który zdawał się go unosić.

Trudno określić, czy weszli do miasta, czy miasto nagle wyrosło przed nimi, lecz Scrooge poznał, że się znajduje w Londynie na giełdzie. Bankierzy, ajenci, kupcy biegali w różne strony, lub rozprawiali żywo, stojąc niewielkimi gromadkami. Jedni spoglądali na zegarki, inni bawili się łańcuszkami, młynkowali palcami, przesuwali ręką po czole, jeden drugiego chwytał za guzik od surduta itp., jak to zwykle Scrooge widywał w tym miejscu.

Duch zatrzymał się w bliskości małej grupy bankierów, a Scrooge, widząc rękę, wyciągniętą w tym kierunku, zwrócił uwagę na to, co mówili.

– Nic więcej nie wiem – zapewniał tłusty jegomość. – Słyszałem tylko, że umarł.

– Kiedy? – zapytał inny.

– Zdaje się, że tej nocy.

– Cóż mu się stało? czy chorował? – wtrącił trzeci, zażywając tabaki. – Zawsze byłem pewny, że ten nie umrze nigdy.

– Na co umarł? – powtórzył pierwszy, ziewając przeciągle.

– A Bóg go raczy wiedzieć.

– A cóż zrobił z pieniędzmi? Jak rozporządził majątkiem? – pytał ciekawie ktoś z boku.

– Nie wiem tych szczegółów, musiał zapisać komuś – to pewna, że nie mnie.

Wszyscy się roześmieli.

– Ciekaw jestem, kto też pójdzie za pogrzebem?

– Z nikim nie żył, nie wiem nawet, czy miał jaką rodzinę, nie ma żadnych zaproszeń. A może byśmy poszli wszyscy razem? Tak sobie, przez ciekawość. Kto z was łaskaw, służę powozem. – Skądże ochota? – zapytał niski, pękaty jegomość.

– Skąd? Zdaje mi się, że ja chyba byłem najbliższym jego znajomym. Gdy spotkaliśmy się na ulicy, zawsze zamienialiśmy choć parę wyrazów. Naturalnie o interesach! Żegnam panów, godzina poczty, do widzenia!

Gromadka się rozeszła. Scrooge znał ich wszystkich. Spojrzał na ducha, jakby prosząc o wyjaśnienie tej rozmowy.

Duch wysunął się na ulicę i wskazał ręką dwie rozmawiające osoby. Scrooge zaczął znowu słuchać, w nadziei, że tym razem rozwiąże zagadkę.

I tych znał doskonale: byli to dwaj bogaci, bardzo szanowani kupcy. Niegdyś ubiegał się o ich względy – w interesach.

– Jak się pan miewa? – zagadnął z nich jeden.

– Nieźle, dziękuję, a pan?

– Bardzo dobrze. Cóż, stary kutwa już zamknął rachunki?

– Podobno, tak słyszałem. Brrr! Przykry czas, zimno.

– Jak zwykle o tej porze – Boże Narodzenie! Warto by się przejechać sankami.

– Zapewne, lecz nie mam czasu. Do widzenia!

I ani słowa więcej. Na tym się ograniczyła rozmowa.

Z początku Scrooge dziwił się i nie mógł zrozumieć, dlaczego duch każe mu słuchać takich błahych rozmów, ale przyszło mu na myśl, że musiał być w tym jakiś bardzo ważny powód. Przebiegł je znowu myślą: – chodziło wyraźnie o to, że ktoś umarł. Nie Jakub Marley przecież, bo ten należał już do przeszłości, a duch, który go prowadził obecnie, zajmował się przyszłością; łamał więc sobie

głowę, do kogo się to odnosi. Przekonany, że celem ducha jest jego dobro – jak mu Marley zapowiedział – usiłował zrozumieć te wskazówki, w których kryła się może ważna dla niego nauka – ale czuł się otoczonym ciemnościami.

– Czekajmy – pomyślał znowu – to się wyjaśni z czasem.

I zaczął się oglądać, aby ujrzeć siebie, tego przyszłego siebie – wszędzie jednak kto inny zajmował jego miejsce, a choć zegar wskazywał godzinę, o której zwykł był przychodzić na giełdę, nie widział się. Był zdziwiony, ale powiedział sobie: „Zaszło coś ważnego, może zmieniłem tryb życia. Skorzystałem z odwiedzin duchów, jestem pewno innym człowiekiem".

Duch stał przy nim milczący, z ręką naprzód wyciągniętą. Gdy Scrooge ocknął się z zamyślenia, wydało mu się, że widmo bacznie wpatruje się w niego, i zadrżał od stóp do głowy. Opuścili giełdę, minęli środek miasta i zwrócili się w boczne uliczki, kręte, wąskie. Nagle znaleźli się w ciemnym pokoju, przy łóżku, na którym spoczywała postać, okryta czarnym suknem, spadajacym aż do ziemi. Pokój był zupełnie ciemny; szare światło, wciskające się przez okno, niewyraźnie oświetlało zasłonięte zwłoki, przy których nikt nie płakał, nikt nie czuwał.

Scrooge spojrzał na widmo, którego ręka wskazywała mu głowę zmarłego. Całun lekko był zarzucony, i z łatwością można go było odsłonić, aby rozpoznać twarz; Scrooge chciał to uczynić, lecz w ostatniej chwili zabrakło mu odwagi, i stał nieruchomy.

– Odejdźmy stąd, duchu! Błagam cię, odejdźmy; to miejsce jest okropne. Nie zapomnę tej chwili, ale odejdźmy, błagam!

Widmo wskazywało mu ciągle głowę nieboszczyka.

– Rozumiem – rzekł Scrooge – ale nie mam siły.

Duch patrzał nań w milczeniu.

– Pokaż mi kogokolwiek, kogo śmierć tego człowieka obchodzi – mówił Scrooge w gorączkowej niepewności – pokaż mi go, zaklinam!

Widmo stanęło przed jego oczyma i natychmiast ujrzał inny pokój: jasny, oświetlony słońcem. W pokoju znajdowała się jakaś kobieta i kilkoro dzieci. Oczekiwała kogoś niecierpliwie, chodziła po pokoju, wyglądała przez okno, patrzała na zegar, chciała szyć, ale ręce jej drżały nerwowo, męczyła ją wesołość dzieci.

Wreszcie dały się słyszeć jakieś kroki. Pobiegła ku drzwiom, otworzyła: wszedł jej mąż, człowiek młody, twarz miał ponurą, malowało się na niej dziwne pomieszanie: smutek, ciężka troska, a zarazem promyk nadziei, który usiłował pokryć.

Siadł zamyślony, z głową opartą na ręku; podano mu posiłek, zaczął jeść, ale zaraz położył łyżkę z niechęcią. – Jakież wiadomości? – zapytała żona głosem cichym i zalęknionym.

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Mówże – złe, czy dobre?

– Złe.

– Więc wszystko stracone?

– Nie, Karolino. Jest jeszcze nadzieja.

– Więc dał się wzruszyć? Ach, to cud prawdziwy!

– On? już go nic nie wzruszy. – Nie żyje. Na te słowa kobieta – łagodna i widocznie anielskiej dobroci kobieta – złożyła ręce na znak dziękczynienia i z wyrazem wdzięczności wzniosła ku niebu oczy. I nagle zawstydzona tą mimowolną radością, ukryła twarz w dłoniach i pochyliła głowę, jakby prosząc o przebaczenie.

– Komuż więc jesteśmy dłużni? – zapytała wreszcie po chwili milczenia.

– Nie wiem, Karolinko, jego spadkobiercy. Któż to jest?

– Nie wiem, ale nim się to uporządkuje, spodziewam się, że znajdę potrzebne pieniądze, a choćbym nie miał wszystkiego, niepodobna przypuścić, aby ten spadkobierca mógł być równie nieubłaganym. Dziś możemy spać spokojnie, Karolino.

Z serca tych dwojga ludzi spadł ogromny ciężar. Twarzyczki dzieci nawet zajaśniały żywszą radością, chociaż nie pojmowały, co się stało. Śmierć nieznajomego, wracała spokój tej rodzinie: jedynym jej następstwem było uczucie ulgi i radości. – Więc nieszczęśliwy w nikim nie zostawił żalu? – szepnął zgnębiony Scrooge. – Ach, duchu, błagam, zatrzyj to wrażenie. Chcę zapomnieć o tym okropnym pokoju i samotnym nieboszczyku pod całunem. – Chciałbym się przekonać, że śmierć bywa inna i inne zostawia uczucia, pokaż mi takich, którzy płaczą i żałują.

Widmo prowadziło go dobrze znanymi uliczkami; Scrooge oglądał się na wszystkie strony, lecz nigdzie nie widział siebie. Na koniec weszli do mieszkania Boba Cratchit, w którym był już z poprzednim duchem. Tam zastali matkę z dziećmi przy kominku.

Wszyscy byli spokojni i dziwnie poważni. Krzykliwe dzieci siedziały w kąciku, jak gdyby nagle zabrakło w nich życia. Piotr czytał z otwartej księgi, którą trzymał na kolanach. Matka i córki szyły.

Gdy Scrooge z duchem przestąpili próg mieszkania, Piotr czytał: „I zabrał dziecię do chwały Swojej".

Matka położyła robotę i ukryła twarz w dłoniach.

– Oczy mnie bolą, zapewne od szycia – szepnęła drżącym głosem. – Nie chciałabym, aby ojciec dostrzegł, że czerwone. Niezawodnie nadejdzie wkrótce.

– Godzina już minęła – rzekł Piotr, składając księgę. – Od niejakiego czasu ojciec się zawsze spóźnia, prawda mateczko?

Wszyscy milczeli. Matka szepnęła wreszcie, tłumiąc łkanie:

– Był czas, że ojciec chodził bardzo szybko, gdy nosił na ręku Tomaszka.

– Prawda, o prawda! – powtórzyli wszyscy z westchnieniem.

– Tomaszek był tak lekki... ojciec go tak kochał... Lecz słyszę go za drzwiami. Mówmy o czym innym.

Podniosła się i wyszła na spotkanie męża. Bob wszedł bez pośpiechu, otulony w swój wełniany szalik. Biedne ojczysko! Podano mu herbatę, która stała przy ogniu, wszyscy się ubiegali, aby mu usłużyć. Dwoje malców wdrapało mu się na kolana i okrywało go pocałunkami, jak gdyby chcieli mówić:

– Kochany ojcze, nie martw się, nie smuć, przecież i nas kochasz także?

Bob uśmiechał się, przemawiał do każdego, jak gdyby nic nie zaszło; spojrzał na stół, zobaczył robotę pani Cratchit i szepnął, że bardzo ładna, bardzo ładna.

– Czy będzie na niedzielę?

Był to wianek ze sztucznych kwiatów.

– Będzie. Czy dziś znowu chodziłeś tam, Robercie?

– Przypadkiem, duszko! Przechodząc. Żałowałem, że was nie było, tak starannie wszystko utrzymane! Pójdziemy w niedzielę – prawda? Musimy odwiedzać go często; przyrzekłem mu, że będę tam każdej niedzieli. Moje najdroższe dziecię! moje życie!

Wybuchnął płaczem i długo nie mógł się utulić. Wreszcie wyszedł do drugiej izby. Tam w rogu pokoju siało małe łóżeczko... Bob usiadł przy nim, zamyślił się, wreszcie uspokojony wrócił do rodziny.

Wszyscy rozmawiali jeszcze przy kominku. Bob wspomniał im o grzeczności siostrzeńca swego pryncypała. – Spotkał mnie na ulicy, a widząc, że jestem jakiś zamyślony – wypytywał troskliwie o powód zmartwienia. Opowiedziałem mu wszystko.

– Szczerze pana żałuję, pojmuję tę boleść, ten żal za ukochanym i straconym dzieckiem. Gdybym mógł być użyteczny – jestem na rozkazy państwa.

– Panie Cratchit – dodał po chwili – przyjdź pan którego dnia do mnie, chciałbym z panem pomówić. Ujął mnie uprzejmością: przemawiał, jak przyjaciel, jak gdyby osobiście znał Tomaszka.

– Ten pan ma zacne serce – wtrąciła pani Cratchit.

– Nie wątpiłabyś o tym, gdybyś z nim mówiła; anioł, nie człowiek. Kto wie, czy nie znajdzie jakiego zajęcia dla Piotra.

– Słyszysz, Piotrze? – zauważyła pani Cratchit.

– O – zawołała jedna z dziewcząt – Piotr by się zaraz ożenił i założył jaki handel.

– Ani myślę się żenić! – zaprotestował Piotr, robiąc pogardliwą minę.

– Niczego się nie można zarzekać, mój synu – rzekł Bob – jestem jednak przekonany, że choć los nas rozłączy, nikt z was nie zapomni o naszym biednym chłopcu, nikt nie zapomni o nim, o tym pierwszym rozłączeniu!

– Nikt! – zawołali wszyscy.

– I wiem, że mogę śmiało za was przypaść, iż przez pamięć na słodycz i cierpliwość naszego biednego Tomaszka, wszyscy będziecie łagodni, cierpliwi i miłujący się wzajem.

– Tak, kochany, drogi ojcze!

– Błogosławię was z całej duszy! z całego serca!

Wszyscy się uścisnęli, całowali, wszyscy mieli łzy w oczach.

– Duchu! – rzekł Scrooge – przeczucie mi mówi, że godzina naszego rozstania, się zbliża. Powiedz mi przed rozejściem, kto był ten nieszczęśliwy, w ciemnym pokoju, na śmiertelnym łożu?

Za całą odpowiedź duch poniósł go gwałtownie w okolice giełdy. Nie zatrzymali się nigdzie, chociaż Scrooge błagał go o to.

– Czekaj, przez litość! Wszak to dom, w którym mieszkam, tu mój kantor, pozwól, niech zajrzę, niech się zobaczę takim, jakim w przyszłości będę.

Duch wskazał ręką w przeciwnym kierunku.

– Mój dom jest tutaj, dlaczego prowadzisz mię gdzie indziej?

Nieubłagana ręka szła wciąż naprzód; Scrooge jednak zajrzał przez okno. Był to kantor, lecz inaczej urządzony, inaczej oświetlony, kto inny siedział na jego miejscu. Duch ciągle wskazywał drogę.

Scrooge szedł za nim niespokojny: zadawał sobie pytanie, co się z nim stać mogło? Wtem stanął z przewodnikiem u żelaznych sztachet i podniósł głowę. Cmentarz!

Cmentarz! Tutaj zapewne spoczywa nieboszczyk, którego nazwisko chciał poznać.

Duch wiódł go po krętych ścieżkach, pośród grobowców, pomników i innych oznak żalu i pamięci, wreszcie zatrzymał się i wskazał grób jeden. Postawa widma była uroczysta, ruch ręki nakazujący. Scrooge drżał.

– Zanim się zbliżę do tego kamienia, który mi ukazujesz, powiedz mi, błagam, duchu, odpowiedz na jedno pytanie: czy wszystko jest obrazem tego, co stać się musi, czy tego, co stać się może?!

Duch stanął i wskazał ręką grób, przy którym się znajdowali. Scrooge wlókł się na kolanach, blady, drżący; podniósł ręce, patrzał w postać ducha, którego palec wskazywał grób samotny, zaniedbany, opuszczony; wreszcie opuścił oczy z wysileniem i przeczytał:

„EBENEZER SCROOGE”

– Więc to siebie widziałem na śmiertelnym łożu?

Widmo skinęło ręką.

– Nie, duchu! och, nie! – zawołał nagle Scrooge, chwytając go za kraj szaty. – Słuchaj, jam inny człowiek, całkiem inny; nie ten,

jakim byłem, nim dostąpiłem szczęścia poznania ciebie i twych braci! Czyż nie ma dla mnie ratunku, nadziei?!

Ręka ducha po raz pierwszy zadrżała.

– Dobry duchu! – ciągnął Scrooge, klęcząc u stóp widma – wstaw się za mną, okaż mi trochę litości! Powiedz, że mogę zmienić te obrazy, zmieniając życie!? Czcić będę odtąd Boże Narodzenie i czynić dobrze nie tylko w tym dniu jednym, ale przez wszystkie dni całego roku. Będę pamiętał przeszłość, żyć będę z myślą o przyszłości. Wy, dobre duchy, musicie być ze mną, bo iść będę wskazaną przez was drogą.

Wyciągnął obie dłonie i pochwycił nagle wyciągniętą rękę widma.

Duch chciał ją wyrwać, lecz Scrooge ściskał z całej siły. W tym pasowaniu się uderzył o coś, uczuł ból gwałtowny, obrócił się, otworzył oczy, usiadł i poznał, że jest w swoim pokoju, we własnym mieszkaniu. Zamiast ręki ducha, ściskał poręcz łóżka.

Jakież sny dziwne i okropne!

Rozdział VI

Przebudzenie

Scrooge ściskał w ręku poręcz własnego łóżka. Tak jest, własnego łóżka, w swoim własnym pokoju.

– Będę pamiętał przeszłość, chcę żyć z myślą o przyszłości! – powtarzał sobie, wyskakując na podłogę. – Nauka trzech duchów pozostanie mi w pamięci. O Jakubie Marley! dobry przyjacielu! Bóg ci wynagrodzi ten dobry uczynek. Błogosławię niebo i Boże Narodzenie i ciebie z twą przestrogą. Tak jest, błogosławię! Przysięgam, że i twoje kajdany zmienię na błogosławieństwo.

Tak był wzruszony, rozgorączkowany, że nie mógł wyrazić uczuć, przepełniających mu piersi. Podczas walki z ostatnim duchem szlochał gwałtownie i twarz miał zalaną łzami.

– Tak, odmienię się, zmienię wszystkie te obrazy, zaczynam inne życie.

Ubierał się pospiesznie, przekręcał ubranie, wywracał do góry nogami, wszystko mu z rąk leciało.

– Sam nie wiem, co robię, co się ze mną dzieje! – wykrzyknął, płacząc i śmiejąc się razem. – Jestem lekki, jak piórko, szczęśliwy, jak anioł, wesoły, jak uczniak. Wiwat! Boże Narodzenie! Życzę wszystkim świąt wesołych! pomyślnego roku! Mój Boże! mój Boże!

Biegał po całym mieszkaniu: z sypialni do salonu, do gabinetu – tchu zabrakło mu w końcu.

– W tej ryneczce był kleik – mówił, stając przed kominkiem – tymi drzwiami wsunęło się widmo Marleya; w tym miejscu siedział duch teraźniejszości! Przez to okno widziałem pokutujące

duchy. Tak, widziałem! A teraz wszystko jest na zwykłem miejscu. Mój Boże! – Roześmiał się śmiechem zdrowym i serdecznym, nie śmiał się od lat niepamiętnych. – Nie wiem nawet, co za dzień dzisiaj. Nie wiem, ile czasu spędziłem w towarzystwie duchów. Nic nie wiem. Mniejsza o to. Jestem jak nowonarodzone dziecko, ach, ach! Odgłos dzwonów kościelnych przerwał radosne okrzyki.

– Bę! Bę! Bę! prześlicznie, cudowna muzyka! przepadam za tym!

Pobiegł do okna, otworzył je na oścież, wyjrzał na ulicę: najmniejszej mgły, zawiei. Mróz wesoły, orzeźwiający, krew raźniej płynie w żyłach, złociste słońce, niebo uśmiechnięte, i te radosne dzwony! Wspaniale, cudownie!

– Co za dzień mamy dzisiaj? – zapytał przez okno świątecznie wystrojonego chłopczynę, który stanął i patrzał na niego zdziwiony.

– Co? – zapytał, szeroko otwierając oczy.

– Co za dzień dzisiaj mamy? powiedz przyjacielu!

– Dziś? – Czy pan spadł z księżyca? – Dziś jest Boże Narodzenie.

– Boże Narodzenie! więc nic nie straciłem, wszystko stało się w ciągu jednej nocy! Duchy zrobiły wszystko w kilka godzin. Mogą wszystko, co zechcą! Słuchaj no, mały!

– Co pan każe?

– Czy znasz ten sklep na rogu, gdzie sprzedają drób i wędliny? wiesz, tam, gdzie się skręca w drugą ulicę na prawo?

– Jeszcze bym nie znał!

– Sprytne dziecko – rzekł Scrooge. – Znakomity chłopiec. Widziałeś tam indyka, wiszącego w oknie? nie tego – małego, ale ogromnego, wspaniałego!

– Ach! tak, wiem, prawie taki, jak ja – odpowiedział chłopiec.

– Zachwycające dziecko, jaki dowcipny chłopiec, co za miła rozmowa! Kto by się spodziewał – mówił Scrooge do siebie. – Mój kotku!

– Słucham pana?

– Czy ten indyk wisi tam jeszcze?

– Wisi, właśnie mu się przypatrywałem.

– Kup mi go!

– Czy pan nie żartuje?

– Nie, niech Bóg broni! Idź i powiedz, żeby mi go tu przynieśli. Jak wrócisz z indykiem, dam ci za drogę, a jeśli się pospieszysz, dostaniesz talara.

Dzieciak nie słyszał reszty, puścił się, jak strzała.

– Poślę go Bobowi Cratchit – mówił Scrooge, zacierając ręce i śmiejąc się wesoło. – Ani się domyśli, skąd to na niego spadło. Indyk dwa razy większy od Tomaszka! Podoba mi się ten figiel.

Napisał adres Boba, odmieniwszy pismo, otworzył drzwi, czekał chwilę na posłańca, a wtem spojrzał na młotek od drzwi wchodowych.

– Będę cię kochał i szanował całe życie, drogi mój młotku – zawołał z uczuciem. – Jak uczciwie wygląda! doskonały młotek. Otóż i indyk. Wesołych świąt! dobrzy ludzie!

– Panie! co za indyk! Nie – ten nie mógł chyba chodzić na własnych nogach, byłby je połamał, jak słomki; to cielę, nie ptak.

– Wiesz co, synku! nie udźwigniesz go tak daleko, masz tu za fatygę, a tu na dorożkę. Śmiejąc się, klaszcząc w dłonie, zacierając ręce, wrócił na górę, obdarzywszy hojnie obu posłańców, którzy nie mogli znaleźć dosyć słów podziękowania, siadł na fotelu i zapłakał z wielkiej radości.

Z trudem mógł się ogolić: ręce drżały mu, jak w febrze; wreszcie jako tako załatwił tę sprawę, choć bardzo prawdopodobne, że gdyby sobie nawet uciął kawałek nosa, i tak byłby się cieszył i dziękował Bogu.

Umył się, włożył najlepsze ubranie i wyszedł na ulicę.

Tłumy ciągnęły we wszystkich kierunkach, jak to widział podczas przechadzki z drugim duchem. Scrooge wpatrywał się we wszystkich, rozglądał na prawo i lewo, uśmiechając się wesoło. Miał minę tak poczciwą, tak uprzejmą, że kilku prostaczków, (ci zwykle są poczciwi) zaczepiło go, mówiąc:

– Wesołych świąt, panie dobrodzieju! wesołych świąt.

Scrooge utrzymywał potem, że gdy po raz pierwszy tak go pozdrowiono, o mało nie umarł z radości.

Nagle spostrzegł jednego z panów, którzy dnia wczorajszego byli u niego po kweście. Na ten widok ścisnęło mu się serce. – Co on sobie o mnie myśli? Nie śmiem mu spojrzeć w oczy. – Lecz natychmiast zrozumiał, co uczynić powinien. Przyspieszył kroku, wziął nieznajomego za ręce i rzekł:

– Łaskawy panie, jakże zdrowie? Mam nadzieję, że wczorajsze trudy pańskie opłaciły się hojnie? Zazdroszczę panu tego poświęcenia. Wesołych świąt, zacny panie!

– Pan... pan... Scrooge?

– Tak jest, szanowny panie, to moje nazwisko. Nieprzyjemne wspomnienie? Proszę mi wybaczyć. Byłem bardzo zajęty i zdenerwowany. Pozwolisz pan, że dzisiaj – (nachylił się i szepnął coś do ucha nieznajomemu)...

– Czy podobna? – zawołał tamten, okazując najwyższe zdziwienie – Czy pan nie żartuje ze mnie?!

– Bynajmniej, drogi panie, płacę długi przeszłości; wierz mi pan: to dla mnie największa przyjemność. Nie odmówisz mi przecie?

– Panie! – zawołał obcy, ściskając mu rękę z uczuciem. – Podobna wspaniał...

– Ani słowa, nie zasługuję na pochwały. Bądź pan łaskaw oznaczyć mi godzinę, gdzie i kiedy mogę ci wręczyć pieniądze.

Może raczysz przyjść do mnie ze swoim zacnym towarzyszem?

– Na rozkazy.

– Dziękuję panu, bardzo, bardzo panu dziękuję. Będę nieskończenie wdzięczny. Do widzenia. Polecam się pamięci.

Wszedł do kościoła, modlił się, znowu chodził po ulicach, uśmiechał się, zagadywał nieznajomych, całował dzieci, wypytywał ubogich o ich potrzeby i obdarzał wsparciem. Nigdy nie czuł się tak szczęśliwym.

Około południa znalazł się na koniec przed mieszkaniem siostrzeńca.

Minął drzwi, przeszedł się tam i na powrót, nie miał odwagi wejść. Wreszcie zakołatał.

– Czy pan w domu? – spytał służącej.

– Jest, proszę pana.

– A gdzie?

– W jadalnym pokoju razem z panią. Może pan poczeka w sali...

– Dziękuję, twój pan zna mnie bardzo dobrze, prowadź mnie do jadalnego pokoju. Tutaj? Dobrze, dziękuję.

Otworzył drzwi nieśmiało. Młoda para kręciła się około stołu, nakrytego już do obiadu. Pani uważnie oglądała wszystko.

– Alfredzie! – odezwał się Scrooge.

– Ach, Boże! – zawołała z przestrachem młoda pani.

– Kto tam? – zapytał Alfred.

– To ja, wuj Scrooge, prosiłeś mnie wczoraj na obiad, czy mogę wejść, Alfredzie?

Czy może wejść? – Alfred go porwał i wniósł prawie do pokoju, o mało nie udusił go z radości. W pięć minut Scrooge był już jak u siebie. Przyjęto go serdecznie: siostrzeniec, jego żona, goście, wszyscy byli mu radzi, wszyscy okazywali mu szacunek i życzliwość. Bawiono się wybornie, Scrooge śmiał się i zachęcał

do wesołości całe towarzystwo. W końcu zaprosił wszystkich do siebie, jak tylko urządzi mieszkanie.

Nazajutrz rano, raniuteńko, był w kantorze. Koniecznie chciał uprzedzić buchaltera i schwytać go na gorącym uczynku spóźnienia. Udało mu się. Nowa przyjemność. Zegar wybił dziewiątą – nie ma Boba; kwadrans na dziesiątą – nie ma. Wreszcie nadszedł: spóźnił się o siedemnaście minut. Scrooge niby to przeglądał książki. Bob otworzył drzwi, jak tylko mógł najciszej, zdjął kapelusz i szalik, wsunął się jak piskorz, zasiadł przy biurku i zaczął pilnie pisać, ażeby wynagrodzić czas stracony.

– Hej! – zawołał Scrooge, udając dawny sposób przemawiania – co to znaczy? Po wczorajszym próżniactwie tak późno przychodzić, a to co za porządek? a gdzie punktualność?

– Przepraszam pana, bardzo przepraszam, spóźniłem się cokolwiek.

– Cokolwiek – półosiemnastej minuty! Proszę bliżej!

– To tylko raz do roku – mówił Bob z pokorą. – Już więcej nigdy mi się nie przytrafi; zabawiłem się wczoraj z dziećmi, czas upłynął tak prędko, że...

– Tak dalej być nie może – przerwał mu Scrooge. – Dość tego! – zerwał się z krzesła, chwycił Boba za ramię i powtórzył: – Tak dalej być nie może! Dlatego... podwajam ci pensję.

Bob zadrżał, wyrwał się pryncypałowi, wpadł do swojej izdebki, schwycił żelazną linię, gotów bronić się od wariata!

A Scrooge śmiał się, śmiał się, pękał ze śmiechu. Nagle uspokoił się zupełnie, spoważniał.

– Tak, Robercie – przemówił serio. – Przede wszystkim świąt wesołych! – tu poklepał go po ramieniu. – Nigdy ci ich nie życzyłem, mój biedaku, przebacz! Przyznaję, że dość rzadko byłem dla ciebie znośny. To się zmieni. Podwajam ci pensję, chcę pomóc twej pracowitej rodzinie; za dużo mamy roboty, biorę Piotra

do kantoru. Zresztą pomówimy o tym dziś wieczorem przy szklaneczce ponczyku. Tymczasem, nim zaczniesz pisać, rozpal porządny ogień: zimno tutaj, jak w psiarni! Weź węgle do siebie, sobie kazałem kupić oddzielny koszyk.

Odtąd Scrooge robił więcej dobrego, niż przyrzekł; nie tylko dotrzymał słowa, wskazywano go jako przykład zacnego obywatela.

Dla małego Tomaszka stał się drugim ojcem. Był wzorowym panem, zwierzchnikiem, przyjacielem, najzacniejszym z ludzi. Niektórzy uśmiechali się złośliwie, mówiąc o tej nagłej zmianie. Ale Scrooge na to nie zważał, wiedział dobrze, iż są istoty, dla których cnota, każdy czyn szlachetny, stanowią cel szyderstwa. Śmieli się z niego, on także śmiał się serdecznie, uczciwie – to była jego zemsta.

Nie przestawał już z duchami, ale z ludźmi: żył z przyjaciółmi, z rodziną; czekał zawsze niecierpliwie dnia Bożego Narodzenia. Obchodził tę uroczystość wspaniale, upamiętniał ją najlepszymi uczynkami. Wszyscy przyznawali, że nikt tak nie święci Bożego Narodzenia, jak Ebenezer Scrooge.

Pragnę z duszy, aby to samo mówiono o was, o mnie i o wszystkich ludziach.

„Miłujcie się nawzajem" – powiedział Chrystus – o tym pamiętajmy zawsze.

ISBN 978-83-268-0395-6

Wydanie elektroniczne 2012

Na okładce wykorzystano fragment ilustracji „Marley's Ghost” Johna Leecha (1817–1864).

WYDAWCA
Agora SA
ul. Czerska 8/10
00-732 Warszawa

Konwersja i edycja publikacji